Nr. 24. Poznań, Niedziela 9go Września 1894 r. Rok. I.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Bramkowa ul. 7.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ:

W sprawie konkursu na dzieło o Karolu Marcinkowskim.

Nie lubię „Polonii“ Styki, zakrywającej całą ścianę we lwowskiej ratuszowej sali, bo nie ma tam nikogo ani z Poznańskiego, ani z Prus Zachodnich, ani ze ślązkiej ziemi. Jest tam nawet Juliusz Kossak jako malarz polskich koni, a pomimo to niema nikogo z naszej dzielnicy. A Polonia przedstawiać ma przecież wszystko, co w Polsce od czasu rozbiorów dla Polski zrobiono. A malował ją przecież jeden z poważniejszych naszych malarzy. Czy nic o nas tam za Wisłą nie wiedzą? Czy też nic tu nad Wartą nie zrobiliśmy? Może trzeba było umieścić na obrazie chociaż chłopa ślązkiego lub rybaka z nad Bałtyku za to, że przez lat sto pod starym wrogiem słowiańszczyzny i ziemię i język przechowali; już przez to samo zrobili bardzo dużo.

A z księstwa kto tam powinien być?

Prawda, że nie wydała nasza wielkopolska ziemia przez tych lat sto wielkich Polaków; dużo ludzi pracujących, ale nie wyrastają ponad poziom. Jeżeli tam, na Polonii, są jednak tacy, jacy tam są, jeżeli tam jest Kossak, to mógłby być może i Dezydery Chłapowski, jako pionier postępowego rolnictwa w Księstwie, mógłby być Maciej Mielżyński, Karol Libelt i inni z owych czasów; mógłby być może i Władysław Niegolewski (nie patrzymy tutaj zupełnie na zasady polityczne) jako wielki szermierz słowem; z żyjących mógłby być może niestrudzony i nieznużony monotonną pracą oatron kółek rólniczych. Jeden jednak powinien być, bo wszystkich przerasta, bo mało kto tyle czuł i tyle zrobił, a nikt tak wcześnie jak on, wtedy, kiedy gdzieindziej jeszcze było głucho: powinien tam być, bo do całej polskiej ziemi należy, bo wszędzie imię jego znać, a twarz pamiętać powinni — Karol Marcinkowski.

* * *

Niewiem dlaczego, ale nie pamiętam, aby jaki projekt stawienia pomnika a raczej ogłoszenia konkursu na dzieło tak chwycił mnie za serce, jak projektowany przez pana Niesiołowskiego konkurs na dzieło o Marcinkowskim. — O pomniku nie mówmy. Marcinkowskiemu trzebaby postawić pomnik bardzo wspaniały, trzebaby go postawić nie na uboczu, ale na dużym, ładnym placu, w środku miasta, w jasnem słońcu tak, aby go każdy przejeżdżający widzieć i każdy nieznający o niego zapytać musiał. Tego dziś zrobić nie można. — Dziełek o Marcinkowskim mamy kilka; dzieło jedno: Żywot Karola Marcinkowskiego przez dr. I. Zielewicza. Nie chcę wcale obniżać wartości tej ostatniej książki. Język tam, co u nas w księstwie rzadkością, czysty, piękny; praca nadzwyczaj sumienna; zebrano tam cały szereg szczegółów; przedrukowano kilka ciekawych listów i dokumentów; zdaje się na pozór, że trudno więcej uczynić. A jednak nie zadowalnia mnie to „opowiadanie“, jak autor sam książkę nazywa. Tak tam zdaje mi się mało głębszej analizy Marcinkowskiego jako człowieka i jako obywatela, może za dużo zwyczajnego sądu a mało ciekawego oświetlenia tej postaci, wyjaśnienia, zkąd na taką wyrosła, zkąd poszło, że taki program stawiała; tak tam ten Marcinkowski na jakąś zaściankową wielkość wygląda wobec swych współpracowników, zacnych, ale nie wielkich, których podobizny zapełniają książkę. Zdaje mi się, że Marcinkowskiego trzeba więcej u wypuklić, wyżej postawić, i to na tle nie Księstwa tylko, ale tego co wówczas było, a raczej nie było w Galicyi i Królestwie, i to wreszcie nie wobec mniejszych ludzi, z którymi pracował, ale wobec tych równych jemu co najmniej, przed którymi długi czas naprzód głosił w Poznaniu to, co daleko później po nim głoszono w Warszawie i Krakowie. Trzeba wreszcie, aby ta książka błysła talentem, głębią myśli, szczerością uczuć, aby sama przyczyniała Marcinkowskiemu sławy daleko po za granicami Księstwa, aby i tam każdy o nim wiedział, a nie patrzał na nas na wspomnienie jego imienia pytającemi oczami. Jedyny to przecież człowiek z Wielkopolski porozbiorowej; pieścimy więc może zanadto tę postać, ale jej, zdaje się, nie przeceniamy. Podaje on sobie dłonie z drugim Wielkopolaninem z końca Rzeczypospolitej, ze Stanisławem Staszycem. Obydwaj mieszczanie.

* * *

Wspomniałem, że dziwnie sympatycznym stał się dla mnie ten konkurs na dzieło o Marcinkowskim. Być może dla tego, że, choć tak często się owo nazwisko słyszy, myśl zwykle przesuwa się tylko przy niem a nie zatrzymuje; tym razem stanęła na chwilę przy tym „świętym demokracie, najzacniejszym i najprawszym człowieku.... który pojmował demokracyę po Chrystusowemu“ (Krasiński Zygmunt). Jakże pogodnie i jasno, poważnie i potężnie, zdrowo i szczerze wygląda nam dzisiaj ta postać szczególniej wobec dzisiejszych ludzi, kierujących społeczeństwem, dzisiejszych burz społecznych, dzisiejszych wymyślań i potępiań. Jak tam każdy i dostojnik i prostak znaleźć może wskazówkę dla siebie. Nie chcemy wcale tej czystej postaci naginać do dzisiejszej chwili, wtrącać w wir teraźniejszych wypadków; ot, bierzemy dla przykładu tylko to, co nam pod rękę podpada a do serc przemawia.

Posłuchajmy n. p., jak Marcinkowski na walnem zebraniu Towarzystwa Pomocy Naukowej lat temu pięćdziesiąt! wobec przeważnej większości wiejskiego obywatelstwa mówi o dążnościach rodu ludzkiego do ulepszeń, o rozmaitych drogach do tego celu, o konieczności ukształcenia zdolności umysłowych wszystkich członków społeczeństwa, o rodzącej się z tąd równości socyalnej, o tem, że w obliczu dobra publicznego każda praca zarówno jest policzona, że stosunek usługi pojedyńczego na korzyść całości towarzyskiej równa . . wyrobnika dziennego z zamożnym kupcem i właścicielem. Jakie to na owe czasy wszystko u nas nowe były myśli! — Albo n. p. kiedy Marcinkowski mówi: „ogranicz prawem wolne rozwijanie się myśli, a zrobiłeś z ludzi helotów. Gdzie wychowanie całych narodów ulegające przepisom nakazanym przez władzę podaje duszy tylko mdłe i niedojrzałe pokarmy, tam się siła duchowa do tej potęgi, do której dojść jest zdolna, wznieść nie potrafi, tam całe narody wbrew wrodzonemu uczuciu, jak trzoda owiec ślepo skinieniu pasterza uległa, ulegną posłuszne“. Jakie to i dzisiaj jeszcze nowe! — Albo te słowa z listu z młodych lat: „Własne me szczęście jest dla mnie przedmiot zbyt nędzny, abym się za niem mógł uganiać. Co dalej przedsiębiorę jest w zamiarze dalszego kształcenia się znowu na dobro cierpiącej ludzkości“. Czy nie warto tych słów przypomnieć młodzieży robiącej dziś wrażenie, jak gdyby tylko o własnem szczęściu myślała? Sądziliśmy, że jesteśmy pesymistami, ale teraz, po wycieczce młodzieży do Lwowa słyszymy ciągle i od tamtejszych ludzi i od mieszkańców Litwy i Królestwa, którzy tę młodzież tam

poznali: Co wy macie za młodzież? Taka sucha. taka strasznie trzeźwa, taka stara a przytem taka swawolna i zepsuta!“ Czyżby to było nieporozumienie tylko? Czyżby to były wybryki jednostek? Czy też trudno było zebrać młodzież gorętszą panu Franciszkowi Dobrowolskiemu?— Ale wróćmy do Marcinkowskiego. Patrzmy tylko, jak on jednoczył i łączył ludzi. Oto n. p. tworzy nie „Bazar katolicki“, ale zwyczajny sobie „Bazar“. polski Bazar, Jaka to myśl odmienna od myśli księdza kan. Kubowicza, ale wcale nie gorsza. Zakłada wreszcie nie „Towarzystwo Pomocy Naukowej dla młodzieży katolickiej“, ale dla „młodzieży Księztwa Poznańskiego“! A duchowieństwo lacz z początku może były uprzedzenia do świeckich celów Towarzystwa“ (tak pisze Zielewicz na str. 88), po okólniku ks. Arcybiskupa Dunina rozesłanym z inicyatywy Marcinkowskiego a mówiącym o Towarzystwie tylko, że „błogie dla ludzkości gotuje następstwa“, przyłącza się ochoczo do tej „na chrześciańskiej podstawie opartej instytucyi“, (słowa konsystorza Arcybiskupiego w sześć lat później). Marcinkowski zauważa wprawdzie sam słusznie, że „oświata ludu naszego w bezpośrednim zostaje stosunku do religii i jej kapłanów“, nie przetrząsa jednak sumienia kupców, przemysłowców i współtowarzyszy pracy: nie mogliby przecież może w takim razie pracować razem i Gustaw Potworowski i kanonik Brzeziński i Jędrzej Moraczewski! — Wszystko tam u Marcinkowskiego podporządkowane przedewszystkiem polskości — może dla tego, że Marcinkowski, jak twierdzi ks. Waleryan Kalinka, „pozycyą Księztwa najlepiej zrozumiał“.

Wobec tego, czyśmy postąpili naprzód? czy też się cofamy? Jak bowiem dziwnie wyglądają nasze czasy, w których nowe drogi mają być podobno zawsze złe, w których swobodniejsza myśl na każdem polu, to bunt, w których dobijanie się świeżo oświeconych warstw do współudziału w pracy społecznej, to anarchia, w których tylko pewne prace w pewnym kierunku bywają policzone, w których nie miłość i wyrozumiałość, ale zarozumiałość i nienawiść panują, w których nie badając nawet potępia się już z góry. Czy wobec tego głosimy nowe myśli, czy też tylko wracamy do czasów Marcinkowskiego?...

* * *

Nie wiem jakich politycznych zapatrywań jest p. Niesiołowski: nie będę go o to nagabywał ani też zaglądał do jego kieszeni, jak to czyni „Orędownik“, bo to mi wstrętne. To tylko wiem, że myśl jego bardzo sympatyczna i chciałem ją kilku słowami poprzeć. Powinny też to wszystkie nasze pisma uczynić.

Bern. Chrzanowski.

POLITYKA.

Stosunki partyjne Rusi halickiej.

IV.

Właśnie w owym czasie — pod koniec 6 i 7 lat dziesiątka w Rosyi ogromnie wzrósł duch ukrainofilski, który wówczas miał charakter wybitnie demokratyczny. Fale tego prądu przedostały się i do Galicyi. Na wiosnę r. 1861 we Lwowie po raz pierwszy ukazały się „Hajdamaki“ Szewczenki i odrazu dokonały całkowitego przewrotu. Młodzież nasza rozchwytała przywiezione z Kijowa egzemplarze poematu kobzarza ukraińskiego, przepisywała go i w licznych odpisach rozpowszechniła po całej Galicyi. Sprowadzono i inne utwory Szewczenki, młodzież literalnie pochłaniała je, uczyła się ich na pamięć i deklamowała je przy każdej sposobności. Akademicy lwowscy poczynają zachwycać się wszystkiem co ukraińskie; chodzą oni po ulicach Lwowa w kozackich kostiumach, w wysokich kozackich czapkach z kutasami, śpiewając pieśni ukraińskie. Pod wpływem poezyi Szewczenki młodzież ruska przejmuje się ideami demokratycznemi i zwraca się do ludu. Dziennik „Słowo“ nabiera bardzo określonego ukrainofilskiego charakteru, przedrukowuje artykuły z petersburskiego organu ukrainofilów „Osnowa“ i nawet pozwala sobie robić ostre wycieczki przeciw katolicyzmowi w obronie kozaczyzny.*) Jednakże, aczkolwiek „Słowo“ przyznawało, że literatura Rusinów galicyjskich powinna rozwijać się w języku ludowym, tem nie mniej wszystkie artykuły tego pisma drukowały się w zwykłej galicyjskiej mięszaninie języka cerkiewnego z małoruskim. Niezadowolona z tego młodzież zakłada pismo „Weczernyci“ (1862—63), które pod względem swego kierunku było bardzo podobne do petersburskiej „Osnowy“. Po upadku „Weczernyć“ w ll. 63—64 wychodziły „Meta“ i „Nywa“. Rusini postanowili na seryo zabrać się do oświaty ludowej przy pomocy wydawnictw popularnych. „Słowo“ poczyna drukować dodatek dla ludu; ukazują się czasopisma ludowe: „Pyśmo do hromady“, „Dim i Szkoła“, „Nedila“; zjawiają się pierwsze popularne naukowe broszury, przy „Domu narodowym“ zakłada się pierwsza czytelnia.

*) Trzeba pamiętać, że „Słowo“ było organem starszej inteligencyi t. zw. „świętojurców.“

Zdawałoby się, że Rusini trafili nareszcie na właściwą drogę i że dalszy normalny rozwój Rusi halickiej jest zapewniony, jednakże do tego było jeszcze bardzo daleko, a tymczasem wypadki polityczne znowu powstrzymały normalny postęp Galicyi.

Niefortunna wojna Austryi z Prusami (1866) w bardzo silnym stopniu osłabiła monarchię Habsburgów. Węgrzy i Polacy znowu podnieśli głowę, i rząd był zmuszony poczynić im pewne ustępstwa. Polacy otrzymali „Radę szkolną krajową“, język polski został wprowadzony do wszystkich średnich i wyższych zakładów naukowych i uznany za urzędowy we wszystkich administracyjnych i sądowych instytucyach Galicyi. Jednem słowem, zawsze wierni i lojalni „tyrolczycy Wschodu — Rusini — zostali zupełnie przez rząd opuszczeni. Wywołało to przygnębiające wrażenie. Przyzwyczajeni zawsze ufać nie własnym siłom, ale poparciu rządu, Rusini wpadli w rozpacz. Zwłaszcza starsza inteligencya, czyli „świętojurcy“ została srodze dotknięta takiem postępowaniem rządu. Ta to część inteligencyi ruskiej, straciwszy wiarę w Austryę, zwróciła oczy ku Rosyi. Austrya po wojnie z Prusami została znacznie osłabiona. Istniało nawet mniemanie, że w najbliższej przyszłości Austryę spotka los byłej Rzeczpospolitej. W takim razie Galicya zostałaby przyłączona do Rosyi. Mając nadzieją na to. świętojurcy postanowili zawczasu otwarcie przejść na stronę Rosyi, aby, skorzystawszy z nowych warunków politycznych, zająć w Rosyi stanowisko uprzywilejowane. W „Słowie“ — organie świętojurców — zjawił się artykuł, w którym wyrzekali się oni wszystkiego tego, co w r. 1848 uznali za swą „profession de foi“ i w którym twierdzili, że pomiędzy Rusinami a Rosyanami nie ma żadnej różnicy, że dla wszystkich szczepów ruskich powinna istnieć tylko jedna literatura – wielkoruska. Jednakże w swych wydawnictwach świętojurcy, przezwani potem moskalofilami, i nadal nie przestawali używać swej dziwacznej mieszaniny i literalnie nic nie robili,

8)

MOGIŁA.

LISTY I NOTATKI

MAURYCEGO ZYCHA.

(Ciąg dalszy.)

22 stycznia.

Kochany Janku! Nieoględnie przyzwyczaiłem się do pisania listów. Po ukończeniu mustry porannej i zjedzeniu obiadu, czuję osłabienie liryczne i zaczynam bazgrać. Wynika to stąd, że od chwili przyjazdu do tego miasta z nikim nie mówiłem. Pojmujesz zapewne, co chcę określić; z nikim nie mówiłem o tem, co mię interesuje, co stanowi horyzont mojej, jeśli jeszcze można tak się wyrażać, — duszy. Opisałem Ci już bal i okoliczności, jakie go uurozmaiciły. Po balu nastąpiła reakcyja w postaci haniebnej ciszy. Do państwa Kłuckich nie kwapiłem się zbytecznie w chęci uniknięcia wszystkiego, co spotkanie z panną Maryą mogłoby za sobą pociągnąć. Taki, patrzajże jestem świętobliwy. Ty, rozumie się, z natury rzeczy, jako przecie sceptyk, będziesz się uśmiechał z moich tryumfów w szrankach miłosnych i gotów jesteś powiedzieć, że wcale jeszcze empiryzm do wiadomości nam nie podał, po co właściwie piękna panna wysyłała mię do zimnego pokoju, czy tam sieni, ale ja znowu nie przeceniam tak dalece całego pańskiego sceptycyzmu, mój Panie!

W tydzień, zdaje się, po balu, wieczorem w niedzielę poszedłem do państwa Zapaskiewiczów. Wyznam, że stukając do drzwi ich domu, czułem, że z takim zapasem odwagi na wojnę, dajmy na to, za dawnych czasów, niepodobna by było wyruszyć. Pocieszała mię tylko ta kombinacya, że jeżeli mię Izmaiłów znowu i stąd *wyleje*, to nie stanie się to po raz pierwszy. A czyliż, pytam, może powieszonemu jakąkolwiek sprawiać sensacyję powtórne zakładanie stryczka? Mizerne jest całe obywatelstwo panstwa referentowstwa. Trzy pokoiki w jednym z tych nie tyle chędogich, ile ubogich domków, jakie zdobią plac, zwany w nieurzędowej mowie gminu „końskiem targowiskiem“. Cała, ze wszechmiar godna szacunku rodzina państwa Zapaskiewiczów dusi się, nocując w ciasnej, niskiej i wąskiej izdebce, a najobszerniejszy z trzech pokojów wydzierżawia po to tylko, aby stał pustką i aby ta ze wszech miar godna szacunku rodzina mogła wylegitymować się przed społeczeństwem z posiadania starych gratów, na których gość. szanujący swe zdrowie i dbający o przyszłość swoich potomków, zaledwie po głębokim i statecznym namyśle usiąść ma odwagę. Pokój ten wyobraża salon. A więc: kanapa, fotele, na stole lampa, dwa oleodruki i t. d. Jest i fortepian. Może to nawet jest szpinet, bo już jakoś zanadto cieńki, śpiczasty, chudy i na bocianich nogach. Zresztą rozstrzygać nie myślę. Jeżeliby mi jednak ktoś chciał dowodzić, że na tym instrumencie nie grywano za czasów Franciszka Dyonizego Kniaźnina, — no — to gotów jestem zarzucić takiemu dyletantowi po prostu nieznajomość historyi kultury! W kącie pokoju, pomiędzy szpinetem i kanapą stoi ogromny oleander. Biedny więzień! Przez długie dnie i noce zimowe tęskni za słońcem, upuszcza zeschnięty liść za liściem, niby żałosną prośbę o litość...

Wkroczywszy do salonu, zastałem towarzystwo złożone z panny Jadwigi, pani domu, pana, kilku sztuk pędractwa z ostrzyżonemi przy samej skórze czuprynami i w mniej lub więcej krótkich majtkach, a nadto z dwu *knotów* powiatowych. Są to młodzi mężowie stanu, na początek i chwilowo pełniący obowiązki kancelistów, panowie: Kozyrewski i Pęcak. Przywitano mię z gościnnością i posadzono przy samej pani domu. Widziałem ją już na balu, ale teraz dopiero miałem możność rozejrzenia się w tej osobie detalicznie. Bóg jej odmówił urody tak dalece, że ani tusza, ani płodność nie są w stanie zmusić cię do pamiętania o tem, że uroda u matki familii i gospodyni domu czczym

ażeby zapoznać publiczność galicyjską z prawdziwą literaturą rosyjską.

Aczkolwiek w ręku moskalofilów znalazły się prawie wszystkie instytucye narodowe, jak „Dom narodowy“, „Matycia“ i t. d. jednakże porzucili oni całkiem wszelką myśl o jakiejkolwiekbądź pracy nad ludem i założywszy ręce, oczekiwali ukazania się wojsk rosyjskich, które miały odebrać Austryi Galicyę. Ale ich nadzieje nie spełniły się, a tymczasem Polacy wzięli wszystko w swe ręce i położenie Rusinów znacznie się pogorszyło. Liczba posłów ruskich w sejmie lwowskim zredukowała się prawie do zera.

Natomiast stronnictwo ukrainofilskie, składające się prawie wyłącznie z młodzieży, nie przestawało pracować nad rozwojem literatury i oświaty ludu. W r. 1868 ukrainofile zakładają towarzystwo „Proświta“, którego celem było wydawanie popularnych książeczek dla ludu. Towarzystwo to odegrało niepoślednią rolę w dziejach oświaty w Galicyi. Wydało ono mnóstwo książek dla ludu i cały szereg podręczników szkólnych. Moskalofile widząc, że ukrainofile na seryo zabrali się do oświecania mas ludowych i, obawiając się, ażeby w ten sposób lud nie przeszedł na ich stronę, postanowili sparaliżować niesympatyczne dla siebie usiłowania młodzieży i zwrócili się nareszcie ku ludowi. Rozporządzając dość poważnemi zasobami pieniężnymi, moskalofile postanowili wziąć w swe ręce sprawę oświaty ludowej. Od roku 1869 „Słowo“ poczyna wydawać pismo ludowe „Słowo do hromad“, a moskalofil Szechówicz wydaje w r. 1869—70 tygodnik gospodarski dla ludu „Hospodar“. Jednakże wszystkie te starania pochodziły wyłącznie z obawy, aby ukrainofile nie stali się panami sytuacyi w Galicyi; w istocie zaś moskalofile po dawnemu odnosili się do chłopów z pogardą. Tylko pomiędzy młodymi moskalofilami byli ludzie, którzy całkiem inaczej zapatrywali się na lud, kochali go i całkiem szczerze chcieli polepszyć jego położenie. Jednym z takich był Iwan Naumowicz. Naumowicz był niegdyś wielkim polskim patryotą, brał nawet udział w powstaniu, potem, poczuwszy się Rusinem, przyłączył się do ukrainofilów, a nareszcie stanowczo przeszedł na stronę moskalofilów. N. założył w r. 1871 w Kołomyi pierwsze pismo polityczne dla ludu „Russkaja Rada“, a w roku następnym począł wydawać miesięcznik „Nauka“. N. był obdarzony bardzo cennemi zaletami, ogromnie rzadkiemi w owym czasie u działaczy obu stronnictw ruskich. Znał on doskonale potrzeby ludu i zrozumiał wybornie jego interesy. Oprócz tego władał on w sposób mistrzowski językiem ludowym. W swych organach N. poruszał wszystkie polityczne, naukowe, moralne i praktyczne kwestye, jakie tylko mogą obchodzić społeczeństwo galicyjskie, wskutek czego i lud i inteligencya z jednakowym zapałem rzuciła się do czytania jego pisemek. N. spopularyzował ideę zakładania śpichlerzy gromadzkich, kas zaliczkowych, stowarzyszeń rzemieślniczych, towarzystw wstrzemięźliwości i t. d. Największą uwagę zwrócił N. na czytelnie ludowe i dzięki jego zachodom do r. 1878 po wsiach i miasteczkach założono więcej niż 150 czytelni.

Tymczasem i towarzystwo „Proświta“ założone przez ukrainofilów (zwanych obecnie narodowcami rozwijało się bardzo pięknie. Jej wydawnictwa rozpowszechniały się pomiędzy ludem w bardzo znacznej ilości egzemplarzy, a niektóre broszury wkrótce były już wyczerpane. Naumowicz zrozumiał, że i moskalofile powinni postarać się o założenie podobnego towarzystwa. Z jego inicyatywy zostało założone „Towarzystwo imienia Kaczkowskiego“, z takim samym zakresem działania jak „Pzoświta“. Nowe towarzystwo dzięki wpływowi, jakim cieszył się N. pomiędzy ludem, od razu pozyskało kilka tysięcy członków-włościan, a niektóre wydawnictwa „Tow. im. Kaczk.“ rozchodziły się w 6000 egzemplarzy. W ten sposób N. sam jeden zrobił daleko więcej dla ludu aniżeli wszyscy ukrainofile galicyjscy razem wzięci. Przyczyna tego tkwi w tem, że demokratyzm Naumowicza wypływał z jego znajomości ludu, wówczas gdy demokratyzm ukrainofilów galicyjskich był tylko teoretyczny, sztuczny. Demokratycznemi ideami Szewczenki i jego naśladowców przejęli się tylko niektórzy ukrainofile galicyjscy. Dla większości z pomiędzy nich idee te były bardzo mało zrozumiałe. Pomimo lekkiego ukrainofilsko-demokratycznego zacięcia, społeczeństwo halicko-ruskie pozostawało po dawnemu klerykalno-biurokratycznem. Ukrainofile czyli narodowcy zwrócili główną uwagę na rozwój literatury dla inteligencyi i przez to w sprawie oświaty ludowej dali się wyprzedzić moskalofilom.

Co się tyczy tych ostatnich, to agitowali oni przeciwko narodowcom gdzie tylko mogli. We Lwowie przeciwko narodowcom wystąpiło wyższe duchowieństwo z taką zaciekłością, że, kiedy założono „Proświtę“ to św. Jur zabronił odprawić na jej intencyę nabożeństwa. Przed młodzieżą i ludem moskalofile usiłowali przedstawić narodowców jako renegatów, bezbożników, wrogów kościoła unickiego i wszystkiego co ruskie. Pomimo to jednak narodowcy pozyskiwali coraz to więcej zwolenników pomiędzy młodzieżą, a zwłaszcza pomiędzy bardziej postępową jej częścią. Malutka pierwotnie partya stopniowo wzrastała, wzmacniała się i wkrótce wzmogła się na tyle, że potrafiła wystąpić przeciw moskalofilom nie bez nadziei zwycięstwa. W r. 1873 narodowcy przy pomocy ukraińców z Rosyi założyli „Towarzystwo im. Szewczenki“, które miało się stać z czasem głównym środkiem literackiej i naukowej działalności całej Rusi halickiej. Od r. 1874 we wszystkich klasach gimnazyum akademickiego we Lwowie wprowadzono wykłady małoruskie. Nietolerancya i pogarda moskalofilów względem języka ludowego wzrosła do tak potwornych rozmiarów, że woleli posyłać swe dzieci do gimnazyum niemieckiego, byle nie do ruskiego. Gardząc językiem swego ludu jako chłopskim, moskalofile tem nie mniej ani myśleli przywrócić sobie język rosyjski, który w zasadzie uważali za jedyny język literacki wszystkich gałęzi wschodniej Słowiańszczyzny. W wydawnictwach moskalofilskich panuje ten dziwaczny żargon, którego nie używa żaden naród w świecie, t. zw. w Galicyi „jazyczje“. Zresztą trzeba zauważyć, że wśród moskalofilów nie było oprócz Naumowicza ani jednego obdarzonego talentem pisarza i cała ich działalność literacka ma bardzo skromne rozmiary.

Co się tyczy narodowców, to w miarę tego, jak stronnictwo to rozwijało się i wzmagało na siłach, traciło ono coraz bardziej swój pierwotny, demokratyczny charakter. Szeregi tego stronnictwa poczęły zapełniać się ludźmi, których biurokratyczne i klerykalne poglądy nie mogły nie wpłynąć ujemnie na działalność całej partyi. Ażeby przeciągnąć na swą stronę duchowieństwo, którego przeważna część należała do moskalofilów, narodowcy musieli zrezygnować z wielu ważnych punktów swego programu. Nareszcie doszło do tego, że narodowcy pod względem swych poglądów społecznych przestali różnić się od moskalofilów i, jeśli pomiędzy temi dwiema partyami zostały jeszcze jakieś różnice, to tylko w kwestyach języka i literatury. Moskalofile uznali prawa języka ludowego tylko w wydawnictwach dla ludu, narodowcy zaś używali jego we wszystkich dziedzinach piśmiennictwa. Ale i tutaj narodowcy opuścili swe pierwotne stanowisko, wprowadzając nader nielogiczną i zagmatwaną pisownią etymologiczną zamiast używanej poprzednio fonetyki (kuliszówki). Jeśli w pismach narodowców, przeznaczonych dla inteligencyi jeszcze zachowały się pewne tendencye postępowe i liberalne, to w ich książeczkach, przeznaczonych dla ludu nie było ani śladu tego. W stosunku do ludu stanęli narodowcy na gruncie unickiego klerykalizmu. Ani społecznych, ani ekonomicznych kwestyi narodowcy w swych wydawnictwach nie poruszali. Pomiędzy narodowcami

---

i przemijającym jest tylko suplementem. Ta matka i gospodyni ma śpiące, małe, łzawe oczęta, usta szerokie i tak niepospolicie mięsiste, że zdają się ociekać tłuszczem, dziwny nos i maślany uśmieszek gościnności rozlany na obliczu, uśmieszek, który mnie natychmiast pobudza do szyderstwa. Całe jej bogate ciało trzęsie się w szlafroku, jak galareta z cielęcych nóżek i straciło niestety zupełnie te kształty, po których ty z tak dziwną stanowczością i szybkością umiesz odróżniać kobiety od mężczyzn. Zapuśćmy wszakże na tę kwestyję kurtynę (ewentualnie szlafrok)!

— Oto jest twoja teściowa, — szepnął mi do ucha jakiś demon, — oto jest niewiasta, która zetrze głowę twoją, czyli najmniej cztery razy dziennie będzie cię prała starą miotłą!

W chwili, kiedy jakiś demon w barwach tak strasznie pomidorowych przyszłość moją malował, matka panny Jadwigi bawiła mię dyskursem o sztukach pięknych. Z bystością zaiste niezrównaną potrafiła wykazać różnice i podobieństwa między walcem „*Minuwszyje dni*“ i walcem „*Tygrionok*“, a następnie przerzuciła się bezpośrednio w dziedzinę literatury nadobnej i oznajmiła mi, że powieść Józefa Korzeniowskiego p. t. „*Szczęście za górami*“ czytała i że *takowa* jest według niej, najbezczelniejszym wymysłem.

Trzej panowie urzędnicy rozprawiali tymczasem o jakimś czwartym. Chodziło im o to miasnowicie, czy ów czwarty ma *czuja*, czy go wcale nie ma. Dwaj kanceliści głośno twierdzili, a gospodarz domu przeczył.

— Gdyby miał *czuja* — he — he — nie byłby prosił o miejsce w głupim Łysocinku, — mówił pan Zapaskiewicz ogromnie chytrze przymrużając lewe oko. Rzecz była jasna, jak słońce. Naczelnik w dobrym humorze, do rany go przytuli, — miejsce archiwisty stoi otworem, a ten zamiast się na oczy pokazać...

— Panie radco! — wiedział on, co robi. Myślał, że go stary pożałuje, że go Kłucki poprze... — wołał pan Pęcak.

— To właśnie znaczy, że ten człowiek za kopiejkę nie ma *czuja*. To panu właśnie mówię!

Zrozumiałem nareszcie, że tu mowa o psychologii powiatowej. Korzystając z momentu zajęcia się pani domu rozbrojeniem dwu walczących o serdelka młodych Zapaskiewiczów, zrejterowałem do panny Jadwigi. Siedziała przy oleandrze, prawie za plecami referenta. Tego wieczora była daleko ładniejszą, niż na balu, — tak mi się przynajmniej wydawało. Nie szpecił jej ów cień zamyślenia czy niecierpliwości, a dobry uśmiech, rozkuty z kajdan przymusu nie schodził z jej ust. Gdym obok niej usiadł, powitała mię spojrzeniem tak szczerem i życzliwem, że na śmierć zapomniałem o rodzicielce, która czytała powieść Korzeniowskiego i o papie, znającym się dokładnie na *czuju*. Co chwila ciemne rumieńce wypełzały na jej policzki. Oczy, ilekroć je zwracała na mnie, miały wyraz nieodgadniony, przedziwny... Mówiliśmy o najrozmaitszych rzeczach, między innemi pamiętam, o charakterach. Potępiałem w czambuł wielkie zamiary i postanowienia młodzieńcze, twierdziłem, że nie ma już dziś pośród młodzieży jednostek umysłowo skostniałych. Mówiłem, że zmienia się wszystko, to też i wyobrażenia ulegają zmianie tak dalece szybkiej, że o dotrzymywaniu jakichś pierwszych, wielkich przyrzeczeń nie może być mowy.

— Czyżby tak rzeczywiście było? — powiedziała z namysłem. Przecie niepodobna zaniedbać tego, o czem wiemy napewno, że na nas czeka i że jest uczciwe...

— Zapewne... tylko, widzi pani, to *uczciwe* mieni się, zależnie od światła bijącego z wiecznie nowych faktów.

— Mnie się zdaje, że są pewne prawdy, których żadne światło zmienić nie może.

— Jest to filozofia poetów lirycznych i.... dam, więc oponować nie wypada.

— Może być, że powiedziałam coś aż tak śmiesznego. Powinien się pan strzedz, aby nie zostać poetą lirycznym, bo toby dopiero był wstyd!

— Proszę pani — ja już się *rozanielam*. Zaczynam wierzyć, jako w nieomylną prawdę, w pewne dobre serce... Ale to tylko jeszcze jeden więcej dowód zmienności charakterów młodzieży współczesnej.

był jeden jedyny człowiek, który istotnie znał i kochał lud i umiał pisać dla niego. Człowiekiem tym był Fedkowicz*). Ale i on, zapoznawszy się bliżej z narodowcami galicyjskimi i zobaczywszy, że narodowcy nie mają najmniejszej sympatyi względem ludu, natychmiast zerwał z nimi stosunki, przestał brać udział w pracach „Proświty“ i powrócił na Bukowinę.

I sam lud wkrótce przyszedł do przekonania, że stosunek obu partyi do niego był nieszczery i, rozczarowując się do nich coraz bardziej, począł wstępować do polskich kółek rolniczych, które, jak mu się zdawało, mogą choć poniekąd polepszyć jego stan ekonomiczny. Czytelnie ruskie poupadały i chłopi odwrócili się nawet od najbardziej sympatycznego dla nich pracownika — Naumowicza, który upadł podczas wyborów do sejmu w tym samym okręgu, gdzie działalność jego była najbardziej znana.

Tymczasem obie partye częstowały lud moralizującemi kazaniami na temat, że wszystkie nieszczęścia chłopów pochodzą z ich krnąbrności, lenistwa, pijaństwa i innych przywar. Porzuciwszy staranie o istotnych interesach ludu, moskalofile i narodowcy poświęcili wszystkie siły zajadłym sporom w kwestyach etnograficznych, lingwistycznych, literackich i ortograficznych. Wszystkie organy obu partyi zapełniały się czczą gadaniną o tem, co przedstawiają Rusini, czy są oni narodowością samodzielną, czy tylko gałęzią plemienia rosyjskiego, czy mowa małoruska jest samodzielnym językiem słowiańskim, czy też narzeczem języka rosyjskiego, czy ma literatura maloruska jaką przyszłość czy nie i t. d. Rozumie się, że wszystkie te spory nie doprowadziły do żadnych rezultatów i tylko osłabiały obie strony. Każde stronnictwo nazywało przeciwników zdrajcami, zaprzedańcami, wrogami Rusi i t. d. Wówczas, kiedy cała inteligencya ruska porzuciła wszelką myśl o istotnych potrzebach ludu i traciła czas w bezmyślnej polemice, pomiędzy młodzieżą obu partyi kiełkowały ziarna nowego ruchu, który miał dokonać stanowczego przewrotu w politycznem i umysłowem życiu Rusi.

V.

Nowy ten ruch powstał głównie pod wpływem zapoznania się młodzieży ruskiej z literaturą zachodnio-europejską i rosyjską. Jeszcze na początku siódmego lat dziesiątka i nawet o wiele wcześniej ukraińcy podtrzymywali stosunki z Galicyą. Wielu ukrainofilów rosyjskich korespondowało z Rusinami galicyjskimi, posyłało im swe wydawnictwa i nawet wydawało swe utwory we Lwowie. W r. 1866 ukraińcy zakładają przy współudziale narodników lwowskich miesięcznik „Prawdę“, który istniał z przerwami aż do roku 1880. W tem piśmie w ll. 1873—75 ukazał się cały szereg wybornych artykułów M. Dragomanowa który wówczas był profesorem uniwersytetu w Kijowie o Rosyi i literaturze rosyjskiej. Z tych artykułów Rusini dowiedzieli się poraz pierwszy, że w Rosyi istnieje literatura, wcale niepodobna do tych idyotycznych wyrobów moskalofilskich, które ci ostatni podawali publiczności za „prawdziwą rosyjską literaturę“. Artykuły Dragomirowa zapoznały Rusinów z charakterem literatury rosyjskiej, z ideami takich beletrystów, krytyków i publicystów jak Turgeniew, Dobrolubow, Pisarew, Czernyszewskij i t. d. Artykuły „Prawdy“ wywarły potężny wpływ, zwłaszcza na młodzież prowincyonalną, która była zorganizowaną w kółka samokształcenia, mocno interesowała się kwestyami społecznemi i literackiemi i pod wielu względami nie godziła się ze starszem pokoleniem. Na uniwersytecie lwowskim istniało stowarzyszenie akademickie moskalofilów „Akademiczeskij Krużok“, które wydawało organ „Druh“. W r. 1875 w tem piśmie ukazały się „Listy do redakcyi Druha“, napisane również przez Drogomanowa. W tych listach wyłożony został pogląd na zadanie inteligencyi ruskiej, na jej stosunek do ludu i na literaturę ruską. Dragomanow radził młodzieży porzucić bezowocne spory filologiczne i bez różnicy stronnictw zabrać się do pracy nad ludem. Dragomanow dowodził, że nie lud istnieje dla inteligencyi, ale inteligencya dla ludu; że inteligencya tylko z tego powodu mogła zająć swe stanowisko, że lud pracował dla niej; że młodzież nie dla tego powinna się uczyć w szkołach, ażeby następnie panować nad ludem i wyzyskiwać go, lecz odwrotnie, powinna odwdzięczyć się mu za jego ciężką pracę, poświęcić mu wszystkie swe siły, dać mu prawdziwą oświatę, polepszyć jego stan ekonomiczny i zorganizować go w celach samoobrony. Dragomanow gorąco radził młodzieży zapoznać się z bogatą literaturą rosyjską, dowodząc, że w niej może ona znaleźć wskazówki, w jakim kierunku ma pracować i co powinna robić dla ludu. Radził on młodzieży zostawić naturalnemu biegowi wypadków rozwiązanie kwestyi, czy Rusini utoną w morzu rosyjskiem, czy też wytworzą własną, samodzielną literaturę. Na razie radził dawać ludowi pokarm duchowy w formie dla niego jak najbardziej dostępnej t. j. w języku ludowym.

Myśli Dragomanowa wydały się w Galicyi do takiego stopnia śmiałemi i nawet dzikiemi, że starsza inteligencya wystąpiła przeciwko nim z energicznym protestem, Jednakże na młodzieży listy te sprawiły całkiem inne wrażenie. Usłuchała ona rad Dragomana i broniła go przed napaściami starszego pokolenia. Pod wpływem Dragomanowa moskalofilski „Ak. Krużok“ połączył się z narodowieckim towarzystwem „Drużnyj łychwiar“, a „Druh“ porzucił żargon moskalofilski i począł drukować wszystkie artykuły po małorusku. Na czele redakcyi „Druha“ stanęli byli moskalofile, nawróceni przez Dragomanowa — M. Pawlik i I. Franko. Narodowcy na razie ogromnie się ucieszyli z tego, że młodzież wrogiej im partyi moskalofilskiej przechodzi na ich stronę, wprowadzając do swego organu język małoruski. Jednakże w bardzo krótkim czasie musieli doznać srogiego rozczarowania, ponieważ w wydawnictwie młodzieży nie było nic wspólnego z tem, co głosili narodowcy.

Z niewielkiem kółkiem akademików, grupujących się około redakcyi „Druha“, wkrótce połączyła się prawie cała młodzież ucząca się obu partyi. Młodzież ta wystąpiła z krytyką całej działalności tak moskalofilów jak i narodowców, zarzucając im serwilizm i obskurantyzm. Po zawieszeniu „Druha“ młodzież wydaje pisma „Hromadzkyj Druh“ „Dzwin“ i „Molot“ (1878), a w celu zapoznania publiczności z najnowszą nauką europejską Franko wydał cały szereg prac europejskich przyrodników i ekonomistów. Niestanowiąc wielkiej siły pod względem politycznym, młodzież z Franką i Pawlikiem na czele miała pomimo to ogromny wpływ jako grupa literacka o pewnym określonym skrajnie demokratycznym programie. W pismach młodzieży zgromadzono tyle ciekawego materyału w kwestyach społecznych, politycznych i literackich, materyał ten był zgrupowany z taką umiejętnością, a oświetlony z takim talentem, że inteligencya nie mogła nie ulegać jego wpływom. Kiedy zaś podczas wyborów do Rady państwa w r. 1879 chłopi ruscy wybrali tylko trzech posłów Rusinów, inteligencya ruska zrozumiała, że czas pójść po rozum do głowy i szczerze zająć się sprawami ludu. Narodowcy w jesieni tegoż roku zakładają pismo polityczne dla ludu „Bat'kiwszczyna“, która pierwotnie bardzo mało różniła się od pism, wydawanych przez młodzież. Narodowcy wprost żywcem brali z pism młodzieży te myśli, które uważali w danej chwili za pożyteczne i podawali je jako własne. „Bat'kiwszczyna“ prowadzona przez I. Romańczuka staje na gruncie obrony interesów ludu wobec wszelkich wyzyskiwaczy tak obcych jak i swoich i, co najważniejsza, zrywa z tym klerykalizmem, którym dotąd były nacechowane wszystkie pisma lu-

*) Wybitny poeta i nowelista rodem z Bukowiny.

Milczenie.

— Czy pani pamięta naszego pierwszego kontredansa?

— A czy też pan pamięta przedostatniego pańskiego mazura? Teraz rozumiem, że to powiedzenie o wierze w dobre serce stosuje się....

— Ależ ja nie będę się wcale bronił! Muszę tylko zaznaczyć wyraźnie, że z pani zły obserwator.

— Nie moja wina, że nie troszczy się pan o to ani trochę, aby mię nauczyć trafnie obserwować.

Mówiła to, odwracając głowę, z tym dziwnym uśmiechem na ustach.

— To prawda... ale zawsze z pani zły obserwator.

— W takim razie muszę przypuścić, że mieszka w panu usposobienie panny Maryi Kłuckiej.

Zaczęliśmy się śmiać oboje i taki był nasz nastrój, że moglišmy śmiać się z tych słów wesoło i ze swobodą.

— Powinienby pan agitować, aby przyszedł do skutku drugi bal u państwa Kłuckich, o którym głucha wieść chodzi po mieście.

— W tej promienistej nadziei, że znowu z wielką paradą wyrzucony będę za drzwi...

Brwi jej drgnęły i wesołe słowa uwięzły w gardle. Trzymałem w ręku kilkanaście suchych liści oleandra, które machinalnie pozbierałem z wazonu w ciągu tej rozmowy.

— Czy chce pan próbować wyroczni: — kocha, lubi, szanuje? — zapytała mię po chwili.

— Nie, bo wiem dobrze, jaki wypadnie rezultat...

— A może ty wyręczysz pana Zycha... — wmięszał się do rozmowy radca, który bardziej uważnie, niż sądziłem przysłuchiwał się temu, co mówimy.

— To właśnie nieszczęście, — rzekłem ze śmiechem, — że panna Jadwiga wcale się tem nie interesuje, jaki wypadnie rezultat...

Panienka zamilkła i pokruszyła liście, podane przezemnie. Długo potem nie podnosiła głowy. Gdy nareszcie udało mi się zajrzeć w jej oczy, zobaczyłem w nich znowu smutek. Niby z odległego i dzikiego krajobrazu wiał z nich chłód jakiś i pustka.

Potrzebny zaiste byłem na tej wizycie, jak pies w kręgielni! Zaczęło się pontyfikalne picie herbaty i komunikowanie sobie nawzajem wiadomości, jakie ani jednego obywatela na całej kuli ziemskiej nie mogły nigdy zajmować, nie zajmują i zajmować nigdy nie będą. Na domiar złego młodzi powiatowicze nie są wcale miedzią brzęczącą, lecz są bez żadnej wątpliwości cymbałami brzmiącemi. Rozgrzeszam ich z tego, że nie będąc kosmopolitami, nie należą również do żadnego narodu, ani do polskiego, ani do rosyjskiego, ale nie mogę darować im jakiejś zupełnej bezklasowości. Co to jest za grupa? Przepisują litera za literą głupstwa, wymyślone przez zwierzchników, mają „czuja“ i pragną stać się tak doskonałymi, jak pan Kłucki doskonałym jest wiedzą bowiem dobrze, że wówczas „reszta będzie im przydaną“.

Na umysły ich spłynął chrzest łaciny z wysokości klasy trzeciej i bierzmowanie *dobrego tonu* z mitycznych salonów, z salonów, których nigdy nie widzieli.

Mają jakiś swój, najśmieszniejszy kodeks światowy, podlegają przepisom nieznanego rytuału...

Usiłowałem zawiązać z nimi rozmowę, zachodziłem z daleka, unikałem najstaranniej obśniewania ich jakimkolwiek gatunkiem wyższości, a jednak zdaje się, obadwaj obrażeni są na mnie. Ha, cóż począć! Niezbadanemi drogami zdąża Opatrzność do swoich celów... Po herbacie rozsunięto stolik i zmuszone mnie do odsiedzenia trzech godzin przy wincie.

Panna Jadwiga odegrała tymczasem na szpinecie „coś poważnego“. Co to było — nie mnie nędznemu robakowi odgadywać. Około północy wyszedłem stamtąd znudzony i głupio smutny...

(Ciąg dalszy nastąpi).

dowe. Drugi narodowiec — Barwiński (Włodzimierz) zakłada w r. 1880 pismo polityczne dla inteligencyi „Diło“, głównym punktem programu którego była wspólna praca całej inteligencyi bez różnicy stronnictw nad ludem. Ruch wzniecony przez młodzież był tak potężny, że pociągnął za sobą i starszą inteligencyę. Inteligencya ta zbliża się do ludu, zakłada czytelnie, urządza wiece i t. d. Pod wpływem wspólnej pracy na czas pewien niknie wszelka różnica pomiędzy moskalofilami, narodowcami i grupą młodzieży.

Ale przeszły pierwsze lata zapału, wśród narodowców znowu poczęły podnosić głowę żywioły klerykalno-biurokratyczne, a w ich organach poczęły występować na jaw dążności wręcz zgubne dla ludu. Narodowcy zwolna, zwolna wracali do polityki kompromisów, do sojuszu z rządem i konserwatystami. Młodzież, która od czasu zwrotu narodowców ku polityce ludowej, pracowała wspólnie z narodowcami, spostrzegłszy co się święci, usiłowała występować przeciwko podobnym tendencyom. Protesty te jednak nie odniosły żadnego skutku, to też młodzież nie uważając za możliwe nadal pracować wspólnie z narodowcami, postanowiła zorganizować własną, samoistną partyą i prowadzić politykę na własną rękę. Odpowiedzią na to były srogie prześladowania, które spotkały wkrótce potem młodzież. Rozpoczęły się rewizye, aresztowania, procesy polityczne i t. p.; wszystko to było prostym skutkiem denuncyacyj. Jednakże młodzież mężnie przetrwała tę burzę i powoli zdążała do swego celu, t. j. do zorganizowania się w partyą. Partya ta, nazwana radykalną, została założona dopiero w r. 1890, a w 1 num. jej organu „Narod“ zostały wypowiedziane jej cele i zadania. Radykali zaznaczyli, że za podstawę wszelkiej pracy inteligencyi ruskiej uważają masy ludowe, a za główne swe zadanie — polepszenie stanu ekonomicznego ludu i oświecenie go w duchu nauki społecznej. Stronnictwo radykalne stoi najbliżej ludowców polskich i mało się czem od nich różni. Wydaje ono dwutygodnik dla inteligencyi „Narod“ i pisemko ludowe „Chliborob“. Jeżli stronnictwo radykalne nie zdołało dotąd osięgnąć zbyt imponujących rezultatów w politycznem i społecznem życiu Galicyi, to fakt ten da się łatwo wytłomaczyć trudnymi warunkami, w których musi ono pracować. W każdym razie już to samo, że radykali zwrócili uwagę obu starszych partyi ruskich na kwestye ekonomiczne i zmusili je zająć się ludem, jest wielką ich zasługą.

Obecnie główną rolę odgrywają w Galicyi narodowcy, pomiędzy którymi jednak wyraźnie zarysowały się dwie frakcye. Pierwsza idąca za metropolitą i redaktorem „Prawdy“ Barwińskim (Aleksandrem) jest stronnictwem rządowem, konserwatywno-klerykalnem; druga zaś, do której należy przeważna część inteligencyi prowincyonalnej i której organem jest „Diło“, zajęła stanowisko opozycyjne i demokratyczne; skrajniejsze żywioły tej ostatniej frakcyi stoją bardzo blisko radykałów. Co zaś do moskalofilów, to partya ta nie ma żadnej nadziei na przyszłość. Składa się ona obecnie z garstki wymierających starców, zaśniedziałych w swym iście przedpotopowym konserwatyzmie, z nieznacznej ilości inteligencyi i pewnej liczby popów na prowincyi. Pomiędzy moskalofilami musimy koniecznie odróżniać ludzi szczerych, działających w dobrej wierze (takimi są przeważnie moskalofile na prowincyi) od kupki menerów lwowskich, grupujących się około redakcyi „Hałyczanina“ i „Russkoj Biesiedy“, którymi kierują przeważnie pobudki dość poziomej natury. Co się tyczy młodzieży moskalofilskiej, bardzo zresztą nielicznej, to w ostatnich czasach poczęła ona używać języka rosyjskiego, uniemożliwiając w ten sposób sobie wszelką działalność na gruncie ludowym w Galicyi, przez co stała się zupełnie nieszkodliwą.

Leon Wasilewski.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Prasa czeska nie przestaje zajmować się kwestyą śląską. „*Narodni Listy*“ znowu umieściły szereg artykułów, których autor zdradza wielką znajomość stosunków śląskich. W artykule ostatnim tak konkluduje:

„Władze miejscowe na Śląsku są na wszelkie prośby nasze głuche, każda petycya, zmierzająca do równouprawnienia naszej narodowości bywa z reguły odrzucaną, stan wyjątkowy trwa nieprzerwanie dalej. Prezydent Śląska, p. Jaeger, uznaje głośno konstytucyę i jej zasadnicze ustawy, ale w praktyce te ustawy nie istnieją. Niemcy zasiadają we wszystkich wyższych urzędach, w sejmie krajowym posiadają większość, choć się dzielą na dwa stronnictwa: prusofilskie narodowe i żydowsko-liberalne, to jednak wszędzie, gdzię idzie o uciemiężenie narodowości słowiańskiej występują zgodnie.

„Co się tyczy organizacyi narodowej, to Polacy są daleko lepiej od nas zorganizowani. Ważną rolę w życiu narodowem Polaków śląskich odgrywa towarzystwo rólnicze, które się pomyślnie rozwija. Również pisma ludowe polskie mają wyższość ponad czeskiemi, bo są odpowiedniej dla ludu redagowane i zajmują się poważnie kwestyami lokalnemi, zrezygnowawszy z wielkiej polityki i bezsensowej polemiki.

„Co jest nowem objawem, to to zjawisko, że hr. Wilczek i hr. Larysz zmienili swoje przekonania dotychczasowe. Wycofawszy się z partyi prusofilskiej i żydowskiej, nie przypadającej im do smaku, chcieliby teraz uchodzić za polską szlachtę, rządowi arcymiłą.

„Niemałe znaczenie posiadać będzie dla Polaków gimnazyum polskie w Cieszynie. Instytucya ta zaradzi dotychczasowemu brakowi inteligencyi polskiej. Polacy wkrótce posiadać będą w Cieszynie dość liczną inteligencyą polską, której brak był dotyczas kompletny. W Opawskiem, choć tam Czechów mniej aniżeli w Cieszyńskiem, sprawa narodowa stanęła na mocniejszym gruncie. Przyczyniło się do tego najwięcej czeskie gimazyum opawskie. W ostatnim atoli czasie wchodzi tam agitacya na tory niewłaściwe. Menerzy czescy poczęli mniej pracować w kierunku ludowym i zrezygnowawszy z agitacyi wśród ludu, skierowali swoje usiłowania ku górze, domagając się ustępstw z góry, co dotychczas pozostało bez rezultatu.

„Mając na uwadze niedaleką przeszłość Śląska nie podobna nie stwierdzić ogromnego postępu niemczyzny. Jeszcze przed kilku dziesiątkami lat, Opawa była czeską, dziś tylko przedmieścia są czeskie. Biłowiec zniemczał kompletnie, a obecnie w czeskim Frydku mają już większość Niemcy. Tylko w Polskiej Ostrawie trzymają się Czesi dobrze wobec nawału niemczyzny. Chcąc lud wiejski przed germanizacyą ratować, trzeba Czechom osiedlić się w miastach, tymczasem do miast napływają tylko Żydzi i Niemcy. Co się pisze o niezgodzie Polaków i Czechów, to nie mają pisaniny te podstawy faktycznej. Polacy i Czesi na Śląsku mogą iść ręka w rękę i zgoda być może, potrzeba jej tylko szczerze zapragnąć. Zgoda ta jest w interesie obydwóch narodowości pożądaną.“

* *

Organ stronnictwa młodosłowińskiego „*Slovenski Narod*“ rozpisuje się o stosunkach, panujących w tych krajach słowińskich, gdzie ludność musi walczyć z agitacyą włoską, a wskazując na samowolność Włochów przy wyborach do izb handlowych tak pisze:

„Ażeby poznać, jak niesprawiedliwe u nas panują stosunki i jak większość słowiańska teroryzowana jest przez mniejszość włoską, dość wskazać na stosunki panujące przy wyborach

AUGUST STRINDBERG.

DZIEJE MAŁŻEŃSKIE.

(Tłum. **Empa**.)

II.

Nagroda.

Uważano go zawsze za jednego z najzdolniejszych ludzi na uniwersytecie — za geniusza, i nikt nie wątpił, że będzie kiedyś dzielnym, sławnym człowiekiem. Jako kandydat prawa udał się do Stokholmu, aby szukać tam i starać się o jaką posadę. Ale egzamin odłożono na później. Nie zbywało mu wprawdzie na ambicyi, ale na pieniędzach, bo majątku nie posiadał żadnego. Dla tego też postanowił się ożenić, i to o ile możności bogato i z panną z arystokratycznej rodziny. W Upsali, a później w Stokholmie, bywał tylko w najwytworniejszym towarzystwie. Jako starszy akademik zawierał chętnie znajomości z młodymi szlacheckimi kolegami, a ci znowu cieszyli się, i byli dumni z przyjaźni takiego genialnego człowieka. I tak zawarł dużo korzystnych stosunków, a z tego wynikało, że latem otrzymywał często zaproszenia na zamki rodziców swych przyjaciół.

Tam brał udział w zabawach wielkiego świata. Przytem posiadał wielkie towarzyskie zdolności, grał, malował, śpiewał, i bawił umiejętnie panie, dla tego też lubili go wszyscy bardzo. Ubranie jego było zawsze wytworniejsze, niż na to pozwalały jego stosunki majątkowe, a pomimo to nie pożyczał nigdy pieniędzy od swoich przyjaciół. — Posiadał dwie akcye jakiegoś akcyjnego towarzystwa kopalni węgla, ale nie miały one wielkiej wartości. Umiał to jednak wyzyskać wobec swoich znajomych — nie zapomniał bowiem nigdy wymienić dnia, w którym musiał jechać na główne zebranie akcyonaryuszy.

Przez dwa lata starał się o względy pewnej arystokratycznej panny, właścicielki małej wsi. Mówiono już dużo o tej „dobrej partyi“ — wtem — nagle zniknął z tego wytwornego towarzystwa i zaręczył się z córką niezamożnego bednarza, zupełnie biedną dziewczyną.

Jego przyjaciele nie mogli pojąć, jak mógł tak lekkomyślnie postąpić i wyrzec się szczęścia, on, który już tak dobrze sprawą pokierował, że potrzebował tylko usta otworzyć, aby otrzymać przychylną odpowiedź od młodej arystokratki. Co prawda to i on nie rozumiał tego i nie pojmował, jak długoletnie jego ambitne plany zostały nagle zniszczone znajomością tej biednej dziewczyny, którą raz przypadkiem zobaczył na jakimś parowcu. Albo był zaczarowany, albo go jakieś licho opanowało. Swoich przyjaciół pytał, czy uważają jego narzeczoną za piękność. Ale oni, chcąc być szczerymi, nie mogli tego powiedzieć.

Ale przecież była bardzo inteligentną!

— Patrzcie tylko na jej oczy, jakie wymowne!

Ale przyjaciele i tego nie umieli znaleść, a tem mniej słyszeć, młoda dziewczyna bowiem rzadko kiedy mówiła.

I tak, jak Bóg dał dzień, przepędzał wieczory u swego przyszłego teścia bednarza, bardzo inteligentnego człowieka, podług jego zdania. Tam siedział u nóg swej ukochanej i trzymał jej włóczki — było to wspomnienie z letniego pobytu na zamkach; grał, śpiewał, opowiadał o teatrze, mówił o religii, i zawsze czytał potwierdzenie swoich słów w ciemnych oczach narzeczonej. Pisał dla niej wiersze, poświęcił egzamin — jednem słowem — złożył wszystko u jej stóp.

I ożenił się z nią.

Podczas uroczystości weselnej wypił teść jego trochę za wiele wina, i wniósł dosyć dwuznaczny toast na cześć dam. Pomimo to orzekł narzeczony, że zachowanie się starego jest bardzo naturalnem i miłem, i prosił go,

do izb handlowych, posiadających w radach miejskich wielkie kompetencye. W okręgu goryckim w mieście i okolicy znajduje się 607 kupców słowiańskich, ale między nimi przyznały izby handlowe tylko 65 prawo wyborcze, w okręgu Karnalskim jest naszych kupców 187, a prawo wyborcze przysługuje tylko 25, jeszcze gorsze stosunki panują w Tolmińskim, Kamieńskiem i Sežańskiem okręgach. Wszędzie izby handlowe starają się kupcom słowiańskim uniemożebnić wywalczenie większości. Tym też sposobem dzieje się, że izby handlowe jako ciała reprezentujące kupiectwo występują wszędzie przeciw zakładaniu szkół słowińskich, oświadczając w imieniu kupiectwa, że takie szkoły uważa się za zbyteczne.

„Trzeba też brać z pewną ostrożnością twierdzenie naszych wrogów, jakoby Gorycya była miastem włoskiem. Według danych statystycznych liczy Gorycya 20019 mieszkańców. Pomiędzy liczbą tą znajduje się 1497 mieszkańców z językiem towarzyskim niemieckim, zaś 3567 Słowińców, a 14870 Włochów. Oprócz tego żyje w Gorycyi spora liczba Czechów, Polaków, Chorwatów i Serbów. Tymczasem wbrew rezultatom statystyki, którą zarządziły władze miejscowe włoskie, znajduje się Włochów według zapisków statystycznych podatkowych tylko dwie trzecie ludności. W całym okręgu goryckim żyje zaś 135000 Słowińców, a 76514 Włochów“.

* * *

Konserwatywny, katolicki „C z e c h“ poświęca artykuł warstwom średnim czeskim dowodząc, że wbrew twierdzeniom radykałów czeskich warstwy te nie ubożeją, lecz przeciwnie ich dobrobyt się wzmaga. „Czech“ pisze:

„Podczas naszej jubileuszowej wystawy krajowej stwierdzono, że w bankach przemysłowych i kasach oszczędności, znajdujących się w rękach czeskich, złożono 800 tysięcy złr., która to cyfra dziś po trzech latach z pewnością jeden milion przekroczyła. Jest faktem, że do kas oszczędności nie wiele składają pieniędzy urzędnicy ale, że oszczędzającymi są przeważnie rzemieślnicy i drobni kupcy. Starczy zresztą przyjrzeć się naszej kasie oszczędności pragskiej, aby się przekonać, z jakich to klas ludzie pieniądze zaoszczędzone przynoszą.

„Nasi milionerzy Liebigowie i Leihenbergowie nie noszą pieniędzy do banków kas oszczędności, lecz kupują za nie dobra, lub też składają w przedsiębiorstwa przemysłowe.

„Nasze instytucye finansowe, do których warstwy średnie pieniądze składają, płacą procentu 4 lub też tylko 3 i pół, a przy wkładkach nadzwyczajnych tylko 3 od sta. Składki wynoszące kilkanaście tysięcy w ogóle się nie przyjmują. Tym sposobem zamknięto drogę wielkiemu kapitałowi, który zmuszony jest do angażowania się w przedsiębiorstwach przemysłowych.

„Wobec tego nie można twierdzić, ażeby nasze warstwy średnie ubożały. Takie narzekania nasze na wielki przemysł i kapitał są nieuzasadnione, gdyż jedno i drugie nie leży jak w innych krajach bezczynne, ale przyczynia się do ogólnego dobrobytu.

Rzeczywistem złem, które nam grozi, jest atoli zadłużenie się gospodarstw rolnych. Ale wina tylko spoczywa na włościanach samych. Gospodarze chcąc się ratować przed zadłużeniem hypotecznem powinni zakładać kasy reifeisenowskie, które im dogomogą w tym stopniu co kasy oszczędności i banki ludowe kupcom i rzemieślnikom“...

K.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Uwłaszczenie w Ziemiach Pruskich i jego skutki.

II.

Junkier niemiecki, występujący w charakterze wielkiego przedsiębiorcy rolnego, potrzebował dwu rzeczy przedewszystkiem: ziemi i robocizny. Grunta które pierwiastkowo posiadał — były zbyt szczupłe dla prowadzenia na nich „wielkiej uprawy“. Trzeba było „obszar dworski“ powiększyć jaknajbardziej. Sposobności dla chcących nie brakło. W wiekach XVI i XVII wykup posiadłości włościańskich, mówi Knapp, nie był wzbronionym, spustoszenia zaś poczynione przez wojnę trzydziestoletnią, następnie zaś przez siedmioletnią pozostawiły mnóstwo wolnej ziemi, którą tylko zająć trzeba było, co uczynić nie omieszkał wielki właściciel. Prócz tego własność, a raczej posiadłość włościańska była niepewną, nadto przechodziła dziedzicznie, w Holsztynie zaś Meklemburgu, na Pomorzu i w Prusiech włościanie posiadali tylko dożywotnią posiadłość użytkową swego gruntu, wystarczało więc tylko uprzątnąć sadybę chłopską, gdy zachodziła potrzeba powiększenia obszaru dworskiego. Proces owego powiększenia gruntów dworskich wciąż postępował i dotąd się nie zatrzymał. Zobaczymy, iż przy uwłaszczaniu włościan w Prusach w początku bieżącego stulecia większa własność otrzymała także ogromne co do rozległości odszkodowania w ziemi...

Jeżeli z jednej strony powiększał się wciąż obszar dworski, to z drugiej powiększać się musiała ilość potrzebnej dla niego robocizny. Dla tego powinności i ciężary pańszczyźniane, które dawniej wynosiły kilka dni do roku, doszły stopniowo do 1, następnie zaś do 7 dni na tydzień... To ciągłe zwiększanie się dni robocych w gospodarce pańszczyźnianej widzieć możemy i w historyi naszej pańszczyzny. Proces ten szedł w parze z przytwierdzaniem coraz ściślejszem włościanina do ziemi, tak że pod koniec żaden poddany nie mógł dobrowolnie porzucić swego stanu i wioski rodzinnej — chyba, że został przez swego pana sprzedany, co się miejscami praktykowało w ziemiach pruskich i niepruskich, jak widzieliśmy; lub też zbiegł i został włóczęgą, szukającym lepszych warunków pracy, a na włóczęgach takich i zbiegach nie zbywało, u nas szczególniej i osobliwie w początkach systemu pańszczyznianego. Zbiegowie ci to właśnie kolonizowali ziemie wschodnie: do nas przybywali z zachodu, a nasi szli na wschód dalej...

Wiek XIX zastał rolną gospodarkę kapitalistyczną i pańszczyznianą na wschodnich obszarach Łaby w pełnym rozkwicie, pomimo ograniczeń, jakie jej stawić się starali królowie pruscy. System był pełen ekonomicznej żywotności i trzymał się krzepko, spiskował jednak przeciwko niemu z jednej strony „wiek oświaty“, z drugiej państwowe wymagania pruskie, które nie mogły się utożsamiać całkowicie z interesami większych właścicieli, aczkowiek „junkierstwo“ było i pozostało podwaliną pruskiej państwowej potęgi. Jednakowoż po napoleońskim pogromie król Fryderyk Wilhelm III wydał edykt z d. 9 października 1807 roku w którym zapowiedziano, że z dniem św. Marcina 1810 r. ustaje wszelka pańszczyzna. Sprawa jednak nie była tak prostą i nie została rozstrzygniętą od razu jednym edyktem. Edykt 1807 r. — powiada poseł Godfryd Cavaignac, uważany we Francyi za jedynego bodaj znawcę stosunków agrarnych w Prusiech i który, przeważnie na podstawie prac Knappa ogłosił parę artykułów w pismach francuskich*) był w gruncie tylko

*) Godefroy Cavaignac. „Revue historique“ 1890 rok i „Revue des deux Mondes“ novembre 1892 r. art. p. t. l' Evolution agraire en Prusse.

---

aby dalej mówił. Czuł się pomiędzy tymi prostymi i skromnymi ludźmi tak dobrze, bo nie potrzebował sobie zadawać żadnego przymusu.

— Widzicie, to jest rzeczywiście miłość, mówili jego przyjaciele. — A jednak ta miłość — jest dziwną rzeczą!

Byli już teraz jeden, dwa miesiące po ślubie. Jakże on był szczęśliwym! Wieczorem siedzieli oboje razem, a on śpiewał jej pieśń ulubioną o „róży w północnym lesie“. Opowiadał jej o teatrze, o religii, a ona siedziała i słuchała z wielkiem nabożeństwem. Nigdy nie przeczyła jego słowom, zgadzała się we wszystkiem z nim, i heklowała serwetki. W trzecim miesiącu powrócił do swego starego nawyknienia, do drzemki poobiedniej. Młoda kobieta chciała chętnie być przy nim, bo nie lubiła samotności. Ale to mu przeszkadzało, czuł bowiem potrzebę być samym ze swojemi myślami.

Czasami wychodziła żona na jego spotkanie aż do mostu północnego, i była dumną, gdy widziała, jak mąż jej opuszczał swoich kolegów, aby spieszyć do niej. I prowadziła go w tryumfie do domu — wszakże należał on do niej samej tylko!

W czwartym miesiącu zaczęła mu się już nudzić jej ulubiona pieśń o róży. Było to też takie oklepane! Wziął więc jakąś książkę, i milcząc siedzieli obok siebie.

Pewnego wieczora musiał iść na jakieś większe zgromadzenie, po którem miała się odbyć wspólna kolacya. Był to pierwszy wieczór, który przepędził po za domem. Młoda kobieta miała zaprosić do siebie jedną z przyjaciółek, a potem iść wcześnie na spoczynek, bo on tak prędko dziś nie powróci. Przyjaciółka przyszła i została do dziewiątej, ale młoda kobieta usiadła potem w salonie, aby czekać na powrót męża. Nie byłaby mogła przecież spać spokojnie!

I tak siedziała samuteńka w pokoju. Co miała robić? Służąca już dawno poszła spać i w całym domu panowała cisza grobowa. Zegar wybijał niezmordowanie swoje tyk — tak, i ledwie wybiła dziesiąta, odłożyła ręczną robótkę. Potem chodziła trochę po pokoju i uprzątała, a w końcu uczuła się zupełnie zdenerwowaną! Więc to się nazywało małżeństwem!

Wyrwana z kółka rodziny, zamknięta w trzech martwych pokojach, i w dodatku ma czekać, aż mąż — na wpół pijany — wróci do domu. Ale on ją kocha, i tylko z powodu ważnego interesu musiał dom dzisiaj opuścił. Była dziecinną, że tego nie uznawału. Ale czy on ją rzeczywiście kocha? Wszakże przed dwoma tygodniami wzbraniał się trzymać jej bawełnę, a przed ślubem czynił to tak chętnie! A wczoraj w południe, gdy wyszła na jego spotkanie, wyglądał bardzo zgryźliwie! A jeżeli dziś musiał iść na zgromadzenie, to przecież było niepotrzebnem zostać na kolacyi!

Było dopiero wpół do jedenastej, gdy w myślach swoich zaszła już tak daleko, i dziwiła się, że już dawniej o tem wszystkiem nie pomyślała. I tak wróciły na nowo czarne myśli i przesuwały się wolno, jedna za drugą. Ale teraz dołączyły się nowe. Wszakże on mało z nią rozmawiał teraz! Fortepianu wcale już nie otwierał i nie śpiewał Nie byłoż to kłamstwem, gdy mówił, że chce spać po obiedzie? Wszakże leżał na kanapie i czytał francuskie romanse.

A więc on ją okłamywał!

Teraz było wpół do dwunastej i cisza w domu stała się nieznośną. Otworzyła okno, i spojrzała na ulicę, Na dole stało dwóch panów rozmawiających z jakąś dziewczyną. Tak, tacy to są mężczyźni! O gdyby i on miał być takim, wtedy utopiłaby się z rozpaczy.

Zamknęła okno i zapaliła w sypialnym pokoju nocną lampę. „Trzeba zawsze wiedzieć, co się robi“, powiedział on razu pewnego przy jakiejś sposobności. Wszystko tu jeszcze było takie czyste i błyszczące! Zielona kołdra leżała tam, jak skoszona łąka, a małe, białe poduszki wyglądały jak młode kotki w trawie. Politura gotowalni lśniła i jaśniała, lustro nie miało jeszcze ani jednej plamki, a oprawy metalowe na szczotkach i pudełkach od proszku

„manifestacyą humanitarną“ i jak poprzednie edykta królów pruskich w tej materyi — manifestacyą podobną, jak i artykuł kodeksu Napoleona, wprowadzonego do Księstwa Warszawskiego 1807 roku, który głosił również, że wszelkie poddaństwo zostaje zniesionem. W Prusach potrzeba było dopiero całego szeregu praw i rozporządzeń, t. zw. „Regulirungsgesetze“, które wyszły między rokiem 1811 a 1816 i noszą nazwę prawodawstwa Steina i Hardenberga, kanclerzy pruskich, którzy te prawa podpisali. I to jednak prawodawstwo rozstrzygnęło sprawę włościańską, pańszczyznianą tylko częściowo. Ostatecznie została ona rozstrzygniętą dopiero w r. 1850. Przebieg reformy 1811—1816 r. był następujący: Była ona przedewszystkiem kompromisem, zawartym między wielką własnością a władzą państwową, która porobiła tej własności daleko sięgające ustępstwa. Szlachta pruska, „junkierstwo“, działała przedewszystkiem w interesie swej własności i kapitalistycznego gospodarstwa rolnego, które było na drodze najpiękniejszego rozwoju — rząd pruski, popychany przez ducha czasu dążył do uwłaszczenia stanu włościańskiego.

Ze starcia tych interesów i dążeń wynikł kompromis, który korzystniejszy był dla większej własności, niżeli dla włościan. Zgodzono się na to, że uwłaszczeni zostaną tylko ci włościanie, którzy posiadali gospodarstwo sprzężajne, więksi włościanie t. zw. „gburzy“. Prócz tego nie państwo wykupywało ich z poddaństwa, lecz sami oni mieli się wykupić, ofiarując w zamian za zwolnienie z poddaństwa połowę lub więcej swych gruntów, obok wynagrodzenia w pieniądzach.

Knapp nie podaje cyfry wyswobodzonych w ten sposób; we wschodnich prowincyach pruskich, na podstawie prawa z r. 1816 do r. 1848 uwłaszczono zaledwie 70.000 włościan. Włościanie ci, którzy przed reformą posiadali, tytułem mniej lub więcej pewnego i dziedzicznego użytkowania 2 i pół do 3 i pół milionów hektarów, otrzymali na własność 1 do 1 i pół miliona hektarów. Zapłacili więc za uwłaszczenie drogo, połową bowiem przeszło swoich gruntów zwiększyli dworskie obszary. Nowe te własności włościańskie obsiewały, według Cavaignac'a średnio po 15 hektarów.

Taki był wynik reformy 1816 r. Uwłaszczono tylko włościan zamożniejszych. Co się zaś tyczy mniejszych, tych, którzy odbywali pańszczyznę bez własnego sprzężaju, ci pozostawieni zostali po dawnemu w poddaństwie, i pozyskali tylko wolność osobistą. Pozostawiono ich zresztą zupełnie na łasce panów. Prócz tego, dla odszkodowania tych ostatnich za utraconą pańszczyznę, zniesiono dawne rozporządzenie Fryderyka II, zabraniające przyłączać do obszarów dworskich posiadłości włościańskich. Liberalny duch czasu wymagał zupełnej swobody w rozporządzaniu własnością. W ten sposób, przy układach o uwłaszczenie więksi posiadacze mieli prawo, za zgodą oczywiście uwłaszczanych, wykupywać ich posiadłości. Co się zaś tyczy drobniejszej posiadłości włościańskiej, pozbawionej tytułu własności i będącej tylko użytkowaniem dożywotniem, rzadko dziedzicznem, tę, jak powiadamy, pozostawiono zupełnie na łaskę większych właścicieli. Ponieważ zaś ci ostatni pożądali robotnika dla zwiększonych obszarów i ponieważ gospodarstwo większe było na drodze pomyślnego rozwoju — pośpieszyli więc przerobić mniejszych włościan pańszczyźnianych na robotników wiejskich uposażonych pewną częścią gruntu, na czas trwania kontraktu najmu. Nowa ta kategorya robotników wiejskich otrzymała nazwę „Insten“ i uważaną, była zawsze za niepodlegających uwłaszczeniu. Gdy zaś około r. 1850 obejrzano się za drobnem włościaństwem i postanowiono rozciągnąć i do niego dobrodziejstwa uwłaszczenia, to znalazło się tylko 12,000 gospodarstw włościańskich, które jak podaje Cavaignac, korzystać mogły z tego dobrodziejstwa. Reszta byli to już tylko „Insten“ i robotnicy folwarczni...

Skutki tak przeprowadzonej reformy odbijają się dziś w stosunkach agrarnych w Prusiech. Wskutek wadliwości statystyki rolnej, mówi Cavaignac, trudno jest porównawczo zestawiać odnośne stosunki we Francyi i w państwie Pruskiem i dla tego trudno wiedzieć ilu mianowicie Prusy mogłyby przedstawić właścicieli rolnych 8,500,000 właścicieli ziemskich we Francyi: z drugiej strony niewiadomo dokładnie jaka liczba we Francyi odpowiada 1,286,721 większych gospodarstw wiejskich we wschodnich prowincyach Prus.

Stosunki agrarne w Prusiech pogorszyły się jeszcze z chwilą, kiedy większa własność ziemska, będąca dotąd podporą hegemonii pruskiej, wpadła w ciężkie przesilenie, wskutek nadmiernego obdłużenia z jednej, upadku zaś cen zboża, ziemi i renty z drugiej strony.

Dawniej było we zwyczaju, że robotnik winien mieć na swój własny użytek kawałek gruntu, krowę, trzodę chlewną i t. d. W ten sposób byli uposażeni t. zw. „Insten“. Dziś dopiero wyrabia się przekonanie, że reforma włościańska 1816 i 1850 roku nie wypowiedziała swego ostatniego słowa. Mógł więc przyjść czas, że i owi „Insten“ mogli być uwłaszczeni. Uprzedzając ten obrót rzeczy, potrzebując zresztą coraz więcej pracy, całkowitego czasu od swych robotników, większa własność pospieszyła cofnąć owo uposażenie w gruncie i krowie. Robotnicy wiejscy w Prusach nie posiadają dziś w wielu prowincyach niczego na własny użytek, ani krowy, ani osła, ani żadnej innej rzeczy i część swej płacy zarobkowej otrzymują w naturze ze dworu. Prócz tego postarano się zmniejszyć o ile można liczbę stałych robotników folwarcznych, w czasie zaś pilniejszych robót polnych posługiwać się zajmowanym chwilowo, koczującym robotnikiem rolnym, który przybywa zdaleka, najmuje się na miesięcy parę i zamieszkuje baraki sumarycznie dlań pobudowane. Koczujący ci przybysze żyją gdzieś w pośrodku między służbą folwarczną i ludnością wsi — długo zresztą miejsca nie zagrzewają. Ludność właśnie z Poznańskiego i Śląska, a nawet Królestwa dostarcza materyału dla tego „obieżysastwa“... Kto zresztą może, emigruje za ocean, ażeby się wyrwać ze stosunków, które mało kogo zadowalniają.

Edward Przewóski.

LITERATURA I SZTUKA.

LOURDES.

Żadna powieść Emila Zoli nie wywołała jeszcze tak zaciętej i obszernej polemiki jak ostatni romans „Lourdes“. Codziennie nieomal ukazują się na półkach księgarskich nowe broszury i broszurki w sprawie cudownego miejsca, a wir polemiki uniósł z sobą nietylko prasę stolicy, ale nawet prowincyonalne pisemka. W poufnej gawędce oświadczył podobno Zola, że nigdy nie zarzucano go tylu listami pełnemi pochwał lub obelg najdrastyczniejszych, — Lourdes! oto hasło chwili obecnej.

Pewien prałat z Aix, ksiądz A. Ricard ogłosił w najświeższym czasie książeczkę p. t. „*La vraie Bernadette de Lourdes*“, a broszurę tę posłał w darze Leonowi XIII. Niebawem doręczono autorowi następujący list kardynała Rampolli:

„Powieść p. E. Zoli o Lourdes nie mogła jak tylko sprawić ból wielki wszystkim sercom katolickim. Wielce też było potrzeba,

---

do zębów, błyszczały jak szkło. Pantofle stały jeszcze tak sztywno pod łóżkiem, jak gdyby nigdy jeszcze nie były używane. Wszystko jeszcze było takie nowe, a jej się już tak starem wydawało. Znała wszystkie jego pieśni, wszystkie melodye, które grał na fortepianie, wszystkie jego myśli i słowa. Wiedziała zupełnie dokładnie co powie, gdy zasiędzie do obiadu, i co powie, gdy wieczorem pozostają sami. Wszystko to zasmuciło ją bardzo. Czy ona kochała go rzeczywiście? Tak z pewnością. Ale czy to już było wszystkiem? Czy to już były wszystkie marzenia jej młodości? I całe życie miało być takiem? Ale przecież oni powinni — mieć dzieci! Dotychczas nie zanosiło się na to. W onczas nie byłaby już tak ciągle samą i on mógłby odejść, i bawić się po za domem tyle, ileby tylko chciał, ona zaś miałaby kogoś, kim mogłaby się zajmować. Może to właśnie to było, czego potrzebowali. Wreszcie małżeństwo było czemś innem, niż tem, że mężczyzna trzyma sobie po prostu dziewczynę i to jeszcze pod gwarancyą prawa. Tak jest! Ale pomimo tego powinien on ją kochać, a on jej nie kochał. I zaczęła płakać.

Gdy mąż wrócił po północy, był zupełnie trzeźwym, i nieomal się rozgniewał, widząc, że ona jeszcze nie śpi.

— Dla czego się nie położyłaś? — To było pierwsze jego powitanie.

— Jakże się miałam spokojnie położyć, skoro czekałam na ciebie!

— Ha, ha, znakomicie! W takim razie nie śmiem już wcale wychodzić. Zdaje mi się nawet, że płakałaś.

— Tak, płakałam, i wolno mi to prawdopodobnie: ty mnie przecież już nie kochasz.

— Czy dla tego cię już nie kocham, że musiałem wyjść dla rozmaitych zajęć?

— Kolacya nie jest zajęciem.

— Patrzcie! Więc mi teraz nie wolno już ruszać się z domu. Niech djabli wezmą, jak też te kobiety mogą stać się nieznośne i niewygodne!

— Niewygodne? O tak, uważałam to wczoraj w południe, gdy wyszłam naprzeciwko ciebie. Ale tego nigdy już nie zrobię!

— Ależ kochanie, jeżeli idę z moim przełożonym, to przecież nie mogę....

Hu, hu! Teraz zaczął się płacz na dobre, młoda kobieta doszła do spazmów. Trzeba było obudzić służącą i przygotować jej ciepłe chustki.

On płakał także, a łzy jego wypływały prosto ze serca! Płakał nad samym sobą, nad swoją okrutnością, swem niedołęstwem, swemi złudzeniami i tem podobnemi rzeczami. Ale on ją kochał! Czy nie? A ona też mówiła, że go kocha, teraz, gdy leżała na kanapie, a on przed nią klęczał i całował jej oczy. O tak, oni się kochali. Była to tylko chmura, ciemna, ale przemijająca. Brzydkie myśli snują się po głowie, gdy człek jest sam. Ale ona nigdy już, nie będzie samą! I pogodziwszy się, usnęli spokojnie, a ona znowu się uśmiechała. Ale następnego dnia nie wyszła na jego spotkanie. Przy obiedzie nie wspomniał wcale o tem. Mówił wprawdzie wiele, ale tylko, aby mówić, zdawało się, że mówi sam do siebie. Wieczorem bawił ją długiem opowiadaniem o życiu w Sjöstaholm — o tem, co panie mówiły do barona, i jakie imiona miały konie hrabiego. Następnego dnia była mowa o jego egzaminie.

Pewnego południa wrócił do domu bardzo zmęczony. Ona siedziała w salonie i czekała na niego. Kłębek jej nici spadł na ziemię. On przechodzi, plącze się w niciach, robótka wypada jej z rąk, i on ciągnie ją za sobą. To wprawia go w niezmierny gniew i odrzuca wszystko nogą — schylić się i podnieść — na to jest za wygodny.

Za taką niegrzeczność łaje go żona ostro.

On odpowiada, że nie ma czasu do myślenia o jej gratach i szmatkach, i że mogłaby się wogóle zająć czemś pożyteczniejszem. On musi złożyć egzamin, jeżeli chce mieć jakąś przyszłość. Dla tego też muszę ograniczyć wydatki.

Teraz skończyło się wszystko!

Na drugi dzień siedziała młoda kobieta za-

aby z łona katolickiego obozu wyszło zaprzeczenie, broniące pogwałconej prawdy, i to zaprzeczenie obszerniejsze, aniżeli to, które się może pomieścić na szpaltach dzienników.

„Ty, monsignorze, dokonałeś tej użytecznej pracy. Dla tego też Ojciec święty przyjął z wdzięcznością ofiarowaną sobie książkę „La vraie Bernadette de Lourdes“, winszuje Ci, jako autorowi, i przepowiada, że praca twoja dozna dobrego przyjęcia przez czytającą publiczność. Przesyłając błogosławieństwo apostolskie, którego Ci udziela Ojciec święty z głębi swego serca, zechciej przyjąć i moje najuprzejmiejsze podziękowanie za egzemplarz książki, przysłanej i dla mnie osobiście. *Rampolla.*“

Z powodu listu powyższego uzyskał redaktor dziennika paryzkiego „Le journal“ u Zoli interwiew, który w całości podajemy.

Na zapytanie, co sądzi o zdaniu zawartem w liście do monsignora Ricard: „Powieść pana Zoli o Lourdes nie mogła, jak tylko sprawić wielki ból wszystkim sercom katolickim“ — Zola odpowiedział:

„— Tak, wierzący zarzucają mi bezbożność, a niedowiarki moją przychylną wyrozumiałość. „Lourdes“ postawiło mnie w kolizyi z jednymi i drugimi; nigdy obelżywszych nie doznałem napaści. Dla jasności całej tej kwestyi, odnośnie do Rzymu i monsignora z Aix, wolę w paru słowach wspomnieć o jej początkach. W odpowiedzi na moją książkę „Lourdes“, monsignor Ricard, któremu, z powodu wysoce przyzwoitego zachowania się względem mnie, chętnie przyznaję należne uznanie, wydał napisaną przez siebie pracę pod tytułem „La vraie Bernadette de Lourdes“. Autor zapowiada w niej, iż chce sprostować fakty najzupełniej przezemnie spaczone. Lecz powtarzam obecnie to, co już napisałem w liście otwartym i ogłoszonym w dzienniku „Gaulois“, iż niemam żadnej odpowiedzi dla książki monsignora. Wierzy on w zjawiska i cuda... wierzy, iż je widziała Bernadette; ja w to nie wierzę... To i wszystko, co mogę powiedzieć. W kwestyach tego rodzaju, w których dostarczenie dowodów jest wprost niemożliwem, na nic się nie przyda roztrząsanie, analizowanie i dyskutowanie przekonań. Wierzy się — albo nie. Pisałem według moich przekonań i mam zapewne racyę, przypuszczając, iż monsignor Ricard również był szczerym, wygłaszając swoje poglądy; na chwilę nawet nie chcę wątpić, by powodował się innemi względami jak wystąpienie w obronie wierzeń, w obronie religii, której, zdaniem jego, coś zagraża. Nie chcę przyłączyć się do tych, którzy twierdzą, że monsignor opracował swój temat w celu zyskania rozgłosu przy nadarzającej się okazyi... Lecz wracając do listu, który napisał kardynał Rampolla na rozkaz papieża do autora „La vraie Bernadette de Lourdes“, zauważyć najpierw muszę, iż list miał racyę bytu, jako podziękowanie autorowi za nadesłany utwór. Wyznaję wszakże, iż list ten zadziwił mnie nieco; dotychczas bowiem Leon XIII, posiadający umysł o wiele liberalniejszy od poprzednika swego na tronie watykańskim, trzymał się z daleka i wymijająco w sprawie cudów, odbywających się corocznie w Lourdes. Ktoś dobrze postawiony na dworze papiezkim powtórzył mi słowa Leona XIII; słowa te, jeżeli są rzeczywiście prawdziwe, świadczą, iż papież posiada umysł bardzo tolerancki, a nawet z pewną przymieszką sceptycyzmu; miał on wyrzec o Lourdes i dziejących się tam cudach: „Trzebaby jeszcze te cuda sprawdzić drogą naukową“.

Stolica apostolska bynajmniej nie zmuszała wiernych do wierzenia w prawdę objawień i cudów w Lourdes; można było dotychczas uchodzić za dobrego katolika, pozostawiając na boku całą opowieść widzeń Bernadetty. Lourdes nie było dogmatem; dodać wszakże muszę, iż Leon XIII, obejmując dziedzictwo po Piusie IX, patrzał również sympatycznie, jak i jego poprzednik, na tysiące pielgrzymek, ciągnących bezustannie do Lourdes. Poza sprawami odnoszącemi się do religii, istnieje w tem kwestya czysto materyalnej natury. Lourdes — stanowi bogate źródło dochodu dla Stolicy apostolskiej; znaczna część pieniędzy znoszonych i nadsyłanych do Lourdes z najodleglejszych krajów świata, corocznie odkładaną bywa i odsyłaną do Rzymu.

Lecz niespodziewanie, oto teraz, papież Leon XIII wygłasza nowe poglądy w kwestyi Lourdes. List, napisany z jego rozkazu przez kardynała Rampollę, wyraźnym jest tego dowodem. Jestem posądzany o deptanie nogami najoczywistszej prawdy. Ztąd wynika, iż Lourdes stoi poza granicami wolności sądów i niewolno niewierzyć w prawdę cudów, mających tam miejsce.

Dla czegoż nie uprzedzono nas o tem?... W każdym razie ja wyrzekłem o Lourdes szczere moje przekonanie. Niedbam o resztę i niechaj sobie mówią, co tylko zechcą, pozwalam i protestować nie będę.“

* * *

Członkowie rady municypalnej gminy Bartrès, w której *Bernadette Soubirious* spędziła lata dziecinne, wystosowali list do Zoli, w którym usiłują zbić twierdzenia jego o wychowaniu i wpływach, jakim podlegała mała jasnowidząca. Przedewszystkiem zaprzeczają, jakoby w domu Bazylego Lagues, wychowawcy Bernadetty, odbywały się czytania książek treści pobożnej, mogące wpłynąć na rozwój duchowy Bernadetty; zaprzeczają posiedzeń wieczornych w kościele za pozwoleniem księdza Adera; zaprzeczają jakoby kościół w Bartrès mógł był rozbudzić imaginacyę pobożnego dziecka przepysznemi ołtarzami, bogato złoconemi, widokiem madon o niebieskich oczach, a ustach koralowych. Kościół w Bartrès jest bardzo skromnym, nie mógł więc rozbudzić wyobraźni dziecka jak to Zola sobie wystawia. List ten ogłoszono we wszystkich pismach publicznych, a zaciekawienie było wielkie, co też Zola na niego odpowie i czy będzie mógł odeprzeć zarzuty, jakie mu z wielką gwałtownością i z nie mniej wielką niegrzecznością uczyniła gmina Bartrès.

Nareszcie mamy odpowiedź Zoli, umieszczoną w paryzkim „*Figaro*“. Zola przedewszystkiem wyraża zdziwienie, że list taki mogła wystosować gmina. Gwałtowny ton tego listu zdradza zdaniem jego więcej „osobę duchowną“, a zresztą rzecz sama z natury swej więcej powinna obchodzić probostwo, aniżeli radę municypalną.

Zdziwienie to sprawiło, że Zola, zanim na list ów odpowiedział, udał się do przyjaciół, jakich w Lourdes posiada, z prośbą, aby genezę listu tego wypośrodkowali. Zabiegi tych przyjaciół wydały rzeczywiście zdumiewające rezultaty.

Otóż Ojcowie groty w Lourdes śledzący uważnie drukujący się w odcinku „Gil Blas“, romans Zoli, po przeczytaniu dwóch odcinków, opisującycych dziecinne lata Bernadetty, zawezwali do siebie wikaryusza z Bartrès, wręczyli mu owe dwa numera „Gil Blas“, aby je oddał panu Laurens, merowi komuny Bartrès. Gdy mer gminy Bartrès na posiedzeniu gminnem odczytał owe dwa numery, rada na jego żądanie powzięła decyzyą, aby odpowiedzieć Zoli. Ponieważ jednak członkowie gminy w większej części zaledwie czytać i pisać umieli, przeto polecono merowi skoncypowanie listu. Mer udał się o pomoc do wikaryusza, i tak wspólnie mer z wikarym list ułożyli. List wygotowany nazajutrz wikaryusz przedłożył Ojcom groty w Lourdes.

„Na co więc — mówi Zola — było niepokoić radę municypalną? Na co ją mieszać do sprawy tak niezwyczajnej? Tego nikt nie pojmuje, każdy się zdumiewa, póki nie zrozumie interesu gwałtownego, doniosłego, jaki Ojcowie mieli, aby zdementować fakta, wyjawione przezemnie o dziecińtwie Bernadetty w Bartrès spędzonem.

---

płakana i robiła skarpetkę dla męża. To znowu dało mu powód do powiedzenia, że taniej wypadnie kupić skarpetki gotowe. Naturalnie zaczęła znowu płakać. Cóż ma więc robić? Służąca uprząta pokoje, a w kuchni jest tylko robota dla jednej osoby. Może on sobie życzy, aby oddaliła służącą.

— O, nie, nie!

— Więc czegóż chce?

Tego nie umiał powiedzieć, ale coś jest z pewnością w nieporządku. Życie kosztuje ich za wiele. To była cała rzecz! Tak dalej być nie może, on też nigdy nie może spokojnie pracować. Potem nastąpiły łzy, pocałunki i wielka zgoda. Ale teraz zaczynał kilka wieczorów w tygodniu przepędzać po za domem. Miał zajęcie. Trzeba się ludziom pokazać, jest to koniecznem, bo inaczej zostanie się zapomnianym.

A te długie, długie wieczory! Teraz już nie czekała na niego, kładła się do łóżka i spała, albo przynajmniej udawała, że śpi, gdy mąż jej wracał.

Rok upłynął, a nie było widoków, aby mieli dzieci. Assessor twierdził, że małżeństwo jego jest podobne do stosunku, jaki miał raz z pewną dziewczyną tylko, że małżeństwo jest nudniejszem i kosztowniejszem. Rozmowa ustała, mówiono tylko jeszcze o codziennych sprawach gospodarskich. On sądził, że żona jego była ograniczoną. Ale sam przecież uważał ją za inteligentną, choć wymowne spojrzenie jej oczu było tylko działaniem wielkich źrenic, niezwykle wielkich źrenic. Mówił teraz już zupełnie otwarcie z nią o swej dawniejszej miłości, jak o czemś, co na zawsze minęło. A potem budziło się w sercu jego znowu jakieś uczucie, i zdawało mu się, że jest rozdrażniony i nielitościwy. Tak rozmawiał często sam z sobą. — Wszystko się kończy, czemu więc i „róża w północnym lesie“ nie ma mieć końca? Jeżeli ją się słyszało trzysta sześćdziesiąt i pięć razy, to chyba dosyć, to nawet i djabeł nic nie pomoże! No, więc i żona miała słuszność, jeżeli twierdziła, że miłość ich skończyła się. — Nie — i jakieś ciche — tak! Ale jakiem było ich małżeństwo, jeżeli nie mieli dzieci?

Pan Assessor postanowił zapytać o to jednego ze swoich żonatych kolegów.

— Jak długo jesteś żonatym? zapytał.

— Sześć lat!

— Nudzisz się bardzo?

— Z początku było trochę nudno, ale jak przyszły dzieci — lżej odetchnęliśmy oboje.

— Co ty mówisz! Jak to dziwnie, że my nie mamy dzieci!

— To nie twoja wina, ale można temu zaradzić. Poślij twoją żonę do doktora.

Rozmówił się więc z żoną i poszła do doktora. Bum! Po upływie sześciu tygodni była rzecz załatwiona. To w dom ich nowe życie wniosło. Tyle roboty! Sukienki dziecęce, kołyska i pościel, wszystko należało kupić, i trzeba się było doktora jeszcze poradzić.

I tak urodził się — naturalnie chłopiec!

I gdy ujrzał małego, czerwonego pawiana, pachnącego jak masło, i leżącego u piersi matki, którą poprzednio uważał za swoją zabawkę, i gdy widział, jak jego żona patrzała swemi wielkiemi źrenicami, z taką serdeczną czułością na chłopca, wtedy pojął, że w tych oczach jest jednak jakiś cudowny wyraz, i coś głębszego, niż potrzeba było do zrozumienia jego opowiadań o teatrze i religii. I stara, pierwsza miłość zapłonęła na nowo i przyniosła z sobą coś nowego, o czem dawniej nie miał wyobrażenia.

Jakże ona ładną była, ta jego żona, gdy znowu wstała, i jak inteligentną we wszystkiem, co się odnosiło do dziecka!

Teraz dopiero czuł się mężem! Zamiast mówić o koniach hrabiego lub o grze w krokieta u barona, mówił teraz nieomal za wiele o swoim chłopcu.

Jeżeli musiał wyjść wieczorem, to tęsknił za domem, nie dla tego, że żona, jak złe sumienie, czeka na niego, ale dla tego, że wiedział, że nie jest samą. Gdy wracał, to matka i syn już zwykle spali. Był prawie zazdrosnym na chłopca i czuł się pokrzywdzonym.

Teraz było mu też wolno spać po obiedzie, a skoro Haraldem zajmowali się inni, otwierał fortepian, i „róża w północnym lesie“, brzmiała

Bo istotnie fakty te w wątpliwość podają całą klasyczną historyą jasnowidzącej.

„Trzeba wiedzieć, że kiedy Bernadetta miała pierwsze swoje widzenie, 11 lutego 1858, dopiero od dwóch tygodni przybyła do Lourdes. Do tego czasu stale mieszkała w Bartrès. Kiedy zatem mówiono o możliwej presyi wywartej na niej, o egzaltacyi religijnej długo wytwarzanej, ksiądz Peyramale, proboszcz Lourdes, mógł sumiennie powiedzieć: „Ależ ja jej nie znam, nigdy jej nie widziałem!“

Dalej na dowód prawdy swych twierdzeń zwraca Zola uwagę na książeczkę napisaną przez Jana Barbet'a: *Guide de Lourdes et de la Grotte.* Książeczka ta wyszła nawet nakładem Ojców groty, tem więcej zadziwiać muszą szczegóły, jakie autor przytacza, zupełnie zgadzające się z twierdzeniami Zoli. Zola cytuje dosłownie całą kartkę tego przewodnika, z której wypływa, że w Bartrès istotnie zajmował się Bernadettą wikaryusz Ader, człowiek nadzwyczaj pobożny, który kilkakrotnie w rozmowie z autorem Przewodnika po Lourdes, ujrzawszy Bernadettę, porównywał ją z „pastuszkami z la Salette“. „Niedługo po tej rozmowie Bernadette powróciła do Lourdes i miała widzenie królowej niebios.“

Kartka ta wyjęta z Przewodnika wydaje się Zoli o tyle ważną nadzwyczaj, że stwierdza istnienie księdza Adera, który bezwarunkowo wpływ zdecydowany wywarł na Bernadettę, — a tem dziwniejszem się wydaje, że o istnieniu tego księdza niema wzmianki w biografiach Bernadetty, nawet w najkompletniejszej, napisanej przez Henryka Laserre. Wprawdzie autorowi tej książki możnaby zrobić zarzut, że czerpał jedynie z materyałów, jakich mu udzieliła kurya biskupia w Tarbes, pogardzając wyniośle archiwami administracyjnemi. Ztąd wydawało się Zoli koniecznem „studyować historyą Bernadetty w Bartrès, miejscu, w którym wzrastała, rozpatrzyć wpływy, którym ulegała, jeżeli się chciało śledzić w niej ukształtowanie i rozkwit pięknej bajki mistycznej, jaka się rozegrała przed grotą w Lourdes“.

Na drugi zarzut odpowiada Zola, że szczegóły, jakie przytacza w romansie, pochodzą z rozmowy, jaką miał na miejscu z panem Barbet, autorem oficyalnego przewodnika po Lourdes, a więc człowiekiem, którego nikt chyba nie posądzi o przekręcanie faktów. Otóż ten p. Barbet opowiadał długo i szeroko o lekturach wieczornych w rodzinach gminy w Bartrès, o tem że z Biblii czytywano miejsca, jakie nakłucie szpilką wskazywało, o wieczorach wspólnie spędzanych w kościele w Bartrès. „Pojmie zatem każdy — mówi Zola — że nie wynalazłem tych szczegółów typowych, że użyłem ich dla odtworzenia tła, dla ukazania Bernadetty w tem środowisku pobożności i prostoty, w którem wzrastała.“

Zarzut, jakoby skromny kościółek w Bartrès nie mógł był rozbudzić imaginacyi Bernadetty, zbija Zola w następujących słowach:

„Trzebaż więc, abym zapewnił, że kościół w Bartrès był istotnie takim, jakim go opisałem, ten *stary* kościół, z którego pozostała tylko absyda, pomalowana na błękitno, z ołtarzem ozdobionym kolumnami i dwoma ścianami bogato malowanemi i złoconemi?“

W końcu pisze Zola: „Aby wyświecić historyą Bernadetty, trzeba koniecznie rozpocząć od Bartrès. W mej powieści mogłem dać tylko wzmianki. Ale jeżeli kiedykolwiek zabiorę się do napisania historyi małej jasnowidzącej, co może jeszcze nastąpi, to wiem dobrze, gdzie zapukać trzeba. Ksiądz Ader nie żyje, ale są jeszcze świadkowie przy życiu. A jak już mówiłem, Henryk Laserre zużył tylko dokumenta kuryi biskupiej; podczas kiedy istnieje cały stos dokumentów, najkompletniejszy, składający się ze skryptów decydujących i listów prywatnych — całość, z której historyk niezależny kiedyś wysnuje historyę Bernadetty ludzką i rozstrzygającą“.

W końcu zwraca się Zola do kardynała Rampolli, który list wiadomy napisał do monsignora Ricard:

„Mówi on o prawdzie, którą zdeptałem nogami. Prawda, niestety! gdzież ona się znajduje? Wiem doskonale, że papież jest nieomylny, więc nie zamierzam dyskutować z papieżem. Ale znam doskonałych katolików, którzy nie wierzą w cuda w Lourdes... Lourdes nie jest dogmatem, można nie wierzyć weń a uzyskać zbawienie“.

Oto objektywne streszczenie polemiki, która zainteresowała cały świat literacki, a nie zaszkodziła ani cudownemu miejscu, do którego w bieżącym roku więcej niż kiedykolwiek pielgrzymów napłynęło, ani powodzeniu słynnego romansu. R. S.

---

znowu, jak dawniej. Było to dla Haralda coś nowego, ale zarazem i nowością dla biednej Laury, która długo musiała się obywać bez swej ulubionej pieśni.

Teraz nie miała już czasu do heklowania, ale całe mieszkanie było przecież już dostatecznie zaopatrzone w serwetki. Do napisania wielkiej pracy egzaminowej nie miał mąż jej także czasu.

— To będzie już musiał Harald napisać“, mówił assessor, i czuł, że życie jego nie jest jeszcze skończonem.

I potem — przepędził niejeden wieczór z żoną tak, jak dawniej, i rozmawiał z nią. I teraz mówili oboje, bo teraz ona już zrozumiała wszystko. Przyznawała chętnie, że dawniej była ograniczoną kobietą, która ani o Bogu ani o świecie nie wiele wiedziała. Ale wszakże powiedziała mu to otwarcie. Teraz jednak nie chciał on w to uwierzyć. I śpiewali o „róży w północnym lesie“, i Harald krzyczał razem z nimi. Tańczyli nawet podług tej melodyi i kołysali go, a pieśń ta pozostała im na zawsze nową i piękną.

Szkoła i wychowanie.

Wychowanie narodowe.

III.

Wspomnieliśmy poprzednio, że pragnąc w dzieciach miłość ojczyzny obudzić, nie należy ich opiece cudzoziemców powierzać, istnieje jednak prócz tej i inna jeszcze ważna bardzo przyczyna, która sprawia, że dla polskiego dziecka tylko Polak najodpowiedniejszym kierownikiem być może.

Wprawdzie od cudzoziemców możemy się w młodszych i późniejszych latach wielu pożytecznych rzeczy nauczyć, wprawdzie w wykładzie poszczególnych nauk, zwłaszcza zaś np. nauk przyrodniczych, matematyki itp. narodowość wykładającego jest rzeczą zupełnie obojętną, jednakże tam, gdzie o wychowanie, o wpływ moralny chodzi — mimo najlepszych chęci cudzoziemiec rodaka nie zastąpi.

W duszy polskiego dziecka tkwi wiele pierwiastków takich, które są zarodkiem czysto narodowych skłonności i cech charakterystycznych odziedziczonych po wielu poprzednich pokoleniach — w sercu jego brzmią struny, które tylko w polskiej duszy oddźwięk znaleźć mogą — budzą się pewne nieprzełamane pociągi lub wstręty stanowiące ciemną dla obcych zagadkę, choć współziomek łatwo klucz do niej znajdzie. — Aby się zrozumieć wzajemnie — nie wystarcza mówić jednym językiem — trzeba jeszcze w podobny sposób patrzeć, słuchać, odczuwać.

Istnienie odrębnych narodowych typów jest rzeczą niezaprzeczoną, a widoczną dla każdego, kto dłuższy czas między cudzoziemcami przebywał.

W braku osobistej obserwacyi można to zresztą zauważyć przez wczytywanie się w utwory literackie obcych narodów. — Beletrystyka im więcej jest realistyczną tym wierniej w psychologii swej odtwarza koloryt miejscowy, a wielu najlepszych dzieł literatury europejskiej nie możnaby po prostu zrozumieć, gdyby się nie uwzględniało narodowych właściwości autora i społeczeństwa, które maluje. Nawet w dziełach naukowych odczuwa się poniekąd cechy plemienne piszącego; — inaczej dany przedmiot traktować będzie Niemiec inaczej Anglik lub Francuz.

Sprawiedliwość wyznać każe, że t a r ó ż n o ś ć nastroju, temperamentu, zdolność umysłowych prawie nigdy nie zasadza się na bezwzględnej w y ż s z o ś c i z jednej — n i ż s z o ś c i z drugiej strony. Przeciwnie, każdy naród w pracowni swego ducha wykształcił pewien szereg skłonności i uzdolnień które wyrobił często kosztem innych, i ztąd każdy w swoim kierunku może dojść do mniej dostępnej dla innych doskonałości, każdy ma swe słabe strony, z których wynika jego w pewnych względach rażąca nieudolność.

Owe narodowe zalety i wady mają zwykle źródła wspólne, z którego zupełnie równolegle, a nawet łącznie wypływają; są to właściwie tylko narodowe cechy ani złe, ani dobre, — a wadami lub zaletami stają się dopiero odpowiednio do warunków, według tego, czy utrzymają się w pewnych granicach, czy przechodzą w monstrualności, wreszcie, czy w danym osobniku wchodzą w szczęśliwe, czy w mniej szczęśliwe z innemi skłonnościami kombinacye: Charakter narodowy bez względu na to, czy z pierwotnych cech plemienia, czy z działania wpływów historycznych wynika, jest wytworem dziedziczności.

Wątpić zresztą nie można, że oba wyżej wymienione czynniki równą w wytworzeniu go grają rolę, choć po upływie wieków bez kwestyi wychowanie historyczne przeważa, co sprawia, że z jednego szczepu pochodzące narody z czasem cechy podobieństwa zatracają ztąd naprzykład pochodzą znaczne różnice między nami a Czechami, z jednej Rosyanami z drugiej strony.

Ważne dziejowe przewroty również wpływają na przetworzenie narodowego typu — a rubaszny wesoły, swawolny Polak z epoki przedrozbiorowej nie poznałby pewno krwi swej w dzisiejszych smętnych i marzycielskich potomkach — choć niejeden ich rys charakterystyczny tylko dziedzictwem po butnych i niezależnych przodkach wytłomaczyć się może.

Sam fakt, że owe narodowe skłonności przekazują się dziedzicznie, doprowadzić musi do wniosku, że różnice psychiczne charakteryzujące dorosłych już i w najmłodszym wieku u dzieci różnych narodów objawiać się muszą. Doświadczenie zresztą zawsze stwierdza tę prawdę, a wychowawcy nigdy jej z oczu tracić niepowinni.

Polak zajmujący się wychowaniem dzieci polskich w znajomości własnego charakteru i charakteru swych ziomków znajdzie wyjaśnienie wielu postępków wychowańca, a zarazem wskazówkę, jak je traktować należy.

Pamiętać on powinien o tem, że widoczne, czyli dziedziczne skłonności tem są trwalsze i do zwalczenia trudniejsze im dłuższy przeciąg czasu złożył się na ich wyrobienie, — a ponieważ cechy narodowe są wytworem wieków — liczyć się z niemi należy przedewszystkiem i wyrzec się złudzenia, jakoby przymusem, rozkazem, karą wykorzenić je można było.

Nacisk zewnętrzny jedynie opór wywołuje, a opór wymaga spotęgowania się i skoncentrowania tych właśnie popędów, przeciw którym walczymy. — Z drugiej strony pedagog, który jest zarazem obywatelem kraju i dla jego dobra pracować pragnie — nie zapomni nigdy że głównem źródłem cierpień narodu są zawsze narodowe wady, a każde nieszczęście tem cięzej go dotyka, im więcej w słabe jego trafia strony.

Ztąd też o ile w traktowaniu tych wad należy unikać zbytniej surowości, która jest niesprawiedliwą, o tyle znowu lekceważyć ich bez-

warunkowo nie należy. — Trudne zadanie uniknięcia dwóch tych ostateczności rozwiązać jednak można przez głębsze wniknięcie w naturę dziecka i przez głębszą znajomość charakteru narodowego.

Jak już mówiłam, specyalne cechy narodowego typu przeważnie nie są ani zaletami, ani wadami same przez się, a ta sama właściwość może mieć i dodatnie i ujemne strony. — Zamiast więc zwalczać ją surowo i prześladować nieubłaganie, lepiej i skuteczniej jest, nadać jej właściwy i pożądany kierunek, i wspomagać rozwój takich popędów i uczuć, które ją równoważyć i łagodzić mogą.

Do naszych cech narodowych np. należą brak wytrwałości, lenistwo i lekkomyślność. — Płyną one z właściwych słowiańskim narodom miękkości i marzycielstwa, po trosze są rysem przejętym od narodów wschodnich, do ustalenia ich jednak znacznie się przyczyniły warunki historyczne. — Nie mogą one dziwić u potomków klassy uprzywilejowanej, zwolnionej od pracy, poświęcającej się dorywczo tylko wojennemu rzemiosłu, w którem zmienność losu najwyraźniej się objawia, co pozwala zawsze na los szczęśliwy liczyć. — Praca jaka się dokonywała w Polsce była to przeważnie praca na roli; otóż rólnictwo i zajęcia wiejskie w ogólności przyzwyczajają ludzi do nierównych i niestałych wysiłków. — Latem natężona praca, — zimą przymusowy wypoczynek. Wreszcie rolnik więcej niż ktokolwiek inny zależy od warunków zewnętrznych, których przewidzieć ani obliczyć nie umie, od pogody i deszczu — od mrozów i słoty, a wszystko to przyzwyczaja go do liczenia na los i nie polegania na sobie. — W przemyśle i handlu obliczanie, przewidywanie, ciągłość pracy, dozór, grają znacznie większą rolę, lecz u nas przemysł rozwinął się późno i niedostatecznie, ztąd też przymioty, których on wymaga, a które zarazem kształci stały się rzadkością i ztąd też najcharakterystyczniejszem naszem narodowem przysłowian było, „jakoś to będzie“. Pod wpływem swobód politycznych, które u nas znacznie wcześniej niż gdzieindziej wywalczono, choć tylko dla jednej klassy narodu, swobód, które sięgały dalej niż dziś w jakiemkolwiek europejskiem państwie, rozwinął się i wybujał nadmiarą indywidualizm. U nas „co głowa to rozum“ każdy szlachcic miał głos w sprawach publicznych czy znał się na nich, czy nie, każdy do wszystkiego poniekąd czuł się powołanym — radził — dysputował, gardłował — i wreszcie wyrobił sobie o wszystkiem powierzchowne, płytkie, lecz własne jakieś pojęcie. — Ztąd może płynie rozpowszechniony u nas brak karności, dyletantyzm, niezdolność skoncentrowania się na danym przedmiocie, a przytem rozwój intelligencyi ogólny, wszechstronności, polot umysłowy. — Wszystko to czyni, że choć jesteśmy narodem zdolnym i intelligentnym — uczonych, specyalistów mamy mało. Talentów nam niebraknie — geniusz rzadko się pojawia a wszystkie nasze talenta, zdolności prace — noszą charakter niestały — dorywczy — i do całego podniesienia bądź to naszego duchowego, bądź materyalnego dorobku się nie przyczyniają.

Gdyby pedagog pragnąc w wychowańcach wyrobić poczucie obowiązku i wytrwałości karności stale i konsekwentnie przeciężał ich pracą, do której wstręt czują, — obrałby drogą wprost przeciwną tej, której się chwycić należy. Doprowadziłby do tego, że praca, obowiązek, przymus wszelki i rygor równe budziłyby obrzydzenie, a dziecko stęsknione za swobodą — z chwilą zrzucenia szkolnego jarzma raz na zawsze ze wszelkich wyzwoliłoby się więzów.

Młodzież polska, której tradycya poszanowania praw i poczucia obowiązku we krwi nie przekazała, — a natomiast wlała jej w dusze zapał — skłonność do poświęceń, odwagą — i ambicyą tylko przez miłość idei i poczucia honoru może wrodzony wstręt do przymusu przezwyciężyć.

Dla tego też właśnie dzieciom polskim usilniej niż innym wykazywać należy wielkie znaczenie małych, lecz wytrwałych prac i drobnych, lecz ciągłych zasług — należy im przedstawić piękną i wzniosłą stronę spełnionego obowiązku, bohaterstwo na opanowaniu siebie polegające i tryumpf zasłużony tych, co wytrwać zdołali.

Izabella Moszczeńska.

(Dokończenie nastąpi.)

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY Z WYSTAWY.

VII.

Po tablicach prof. Estreichera należałoby z urzędu przejść do pawilonu sztuki — tak bowiem zazwyczaj lubi przeciętny nasz czytelnik obracać się między zagadnieniami „literatury i sztuki“, zbaczając czasem jeszcze w dziedzinę nauk jak najmniej zresztą ścisłych. Zrobię jednak odstępstwo od tego szablonu naszej myśli i, zacząwszy raz mówić o pokarmie, o tem, czem się żywimy pod zwzględem *duchowym*, — przejdę z kolei do pokarmu *materyalnego*. Może to nawet dobrze zrobi zwolennikom czystej literatury i sztuki, że po świetnych cyfrach tablic prof. Estreichera przejdę do mniej wesołych spostrzeżeń prof. Cybulskiego?

W mało uczęszczanym kącie wystawy, w pawilonie sanitarnym, mieści się 6 skromnych map. przedstawiających poglądową odpowiedź na pytanie, czem i jak żywi się ludność wiejska w Galicyi. Świeżo wydana książka*) autora tych tablic prof. Cybulskiego dostarcza do nich wymownych komentarzy i pozwala nam kwestyę zbadać szczegółowiej. Że ludność wiejska stanowi w Galicyi główny kontyngent mieszkańców, że jej położenie ekonomiczne jest miarą pomyślności kraju, że wreszcie o położeniu tem najwymowniej zawsze świadczy sprawa odżywiania się — o tem chyba mówić nie potrzebujemy. Prof. Cybulski przystępuje do zagadnień z całą powagą i bezstronnością uczonego, pod tym względem danym jego możemy bezwzględnie zaufać. Co się zaś tyczy metody badania tej jednej z najważniejszych spraw — to czytelnik sam osądzi ją z historyi powstania pomienionej pracy.

Prof. Cybulski opracował kwestyonaryusz zawierający 39 szczegółowych pytań i rozesłał go przy współudziale władz szkolnych. Odpowiedzi na kwestyonarysz w ilości 560 stanowią główny materyał badania. Niezależnie od prof. Cybulskiego, kwestyą żywienia się ludu wiejskiego w Galicyi zajmował się w swoim czasie prof. Kleczyński, p. Szczepanowski w „Nędzy Galicyi“. Ten ostatni (cytata z prof. Cybulskiego) w ten sposób określa porównawczo roczną konsumcyę rozmaitych krajów na jednego mieszkańca:

	zboża	kartofli	mięsa
W Angli	217	160	50
Niemczech	200	300	33
Francyi	284	255	34
Belgii	235	310	35
Węgrzech	182	100	24
Galicyi	114	310	10

Otóż danym tym zarzucano w swoim czasie pessymistyczną przesadę. Niestety jednak — praca prof. Cybulskiego nietylko zarzutu tego nie popiera, lecz owszem nawet tej marnej ilości pokarmu, jak zobaczymy, odmawia nieraz własności odżywczych. Przejdźmy jednak do książki i tablic. Te ostatnie nie dają nam wiele nowego: widzimy z nich, jak ogromny płat kraju podgórskiego żywi się wyłącznie niemal jednem zbożem — owsem; jak Galicya wschodnia uprawia obficie kukurudzę, zachodnia zaś względnie pomyślnie — przenicę; jak wreszcie podstawę bytu po za żytem jest dla ogromnego obszaru kraju — hreczka. Ciekawszą jest znacznie broszura: to zestawienie odpowiedzi na kilka charakterystycznych pytań kwestyonaryusza tworzy obraz pouczający. Mnóstwo szczegółów nietylko o tem co, lecz i jak je lud wiejski, ubarwia całość i nadaje jej pozory prawdy i życia. Szkoda, że niezmiernie mała ilość odpowiedzi (560!) nie pozwala tej pracy traktować inaczej jak wstępu do właściwych badań naukowych. Rozpatrzmy się teraz w kilku z owych 39 pytań.

Pierwsze z nich — ile razy na dzień jadają w zimie i w lecie — prowadzi od razu do podziału „ludu wiejskiego“ na trzy kategorye: zamożni, mniej zamożni, najbiedniejsi.

Pierwsza prawie w całej Galicyi jada 5 razy dziennie; — druga 3, a wyjątkowo w czasie robót polnych 4 razy; trzecia — jadają „bardzo różnie od 1 do 5 razy stosownie do zarobku i pory roku“. Zazwyczaj jednak jedzą 2 razy, a na przednówku 1 raz. Ciekawym jest też zaraz podkreślony przez prof. Cybulskiego fakt, że ludność zachodniej Galicyi odżywia się na ogół obficiej i lepiej niż wschodniej.

Drugie pytanie — z czego się składa w zimie i lecie pożywienie chłopa — doprowadza autora do wniosku, że właściwie żadnej zasadniczej różnicy pora roku nie stanowi. W zimie tylko bywa mniej nabiału, na przednówku zaś częściej występuje zupa t. j. woda grzana na rozmaite sposoby. Z pow. Kolbuszowa i Nisko piszą: „Nie rzadko się zdarza, że biedniejsi zapełnie się obywają bez obiadu jadając tylko z rana i wieczór ten sam żur“. Otóż żur, według objaśnienia na str. 209 tworzy się z rozczynu mąki (najczęściej owsianej) „rozczyn ten zakwaszony przechowują w garnku i tylko w miarę potrzeby dolewają do kipiącej wody, która po zagotowaniu stanowi właściwy żur“. Lud nasz w czasie krótkich dni zimowych objadu już często nie jada. „Biedacy — piszą ze Stryjskiego — jedzą razem obiad ze śniadaniem, w południe zaś suchy chleb“. Z Borszczowskiego piszą, ze „Ubożsi i w lecie i w zimie jadają głównie chleb lub małaj z cebulą, chrzanem lub czosnkiem, tak w dni zwykłe jak i postne“.

Co do owych „dni zwykłych i postnych“, to prof. Cybulski utrzymuje, że lud nasz pości około 200 dni w roku, lud zaś grecko-unicko aż 240 dni.

Nie należy jednak przypuszczać, żeby pozostałe dni obfitowały w pożywienie mięsne. Pouczającem jest pod tym względem pytanie 15 — jak często spożywają mięso. Prof. Cybulski wylicza koniec końcem 6 chwil w roku, kiedy mięso niewątpliwie zjawia się na stole chłopa: Zapusty, Wielkanoc, Zielone Świątki, w jesieni przed adwentem i w Boże Narodzenie. Wogóle zaś z zestawień wypada przeciętnie: na zamożnych 20 klg, na średniozamożnych około 10 i na najbiedniejszych 2—3 klg mięsa rocznie na osobę.

Nad wyraz charakterystycznem dla całego zagadnienia — jest pytanie 5 p. t. *Chleb*. Zdawałoby się, że tu nic nowego autor nie powie. Tymczasem okazuje się, iż pojęcie chleb — owo tak niby powszechnie znane pojęcie — w zastósowaniu do ludu jest ogólnikiem bez znaczenia. Bo oto chleb bywa z żyta, owsa, pszenicy, jęczmienia z przymieszką grochu, fasoli, ziemniaków a nawet kapusty! „Z czystym chlebem pszenicznym lub żytnim spotykamy się bardzo rzadko: na 576 odpowiedzi zaledwie jeden raz znajdujemy chleb czysto pszeniczny, szczęśliwą tą miejscowością jest właśnie niemiecka osada Felizienthal“. Wobec rozmaitości gatunków chleba określenie ogólne jego wartości odżywczej jest wprost niemożliwą. Zresztą i tak „chleba o tyle o ile czysto żytniego przez cały rok używa jedynie ludność najzamożniejsza“. I dalej „widziałem chleb dziecka w szkole: wyglądał tak, jakby był z samych otrąb.“

Wreszcie: „Najubożsi nie jadają chleba

*) Próba badań nad żywieniem się ludu wiejskiego w Galicyi. Kraków 1894.

wcale przez całą połowę roku, a przez drugą połowę mało i to w najgorszym gatunku."

Tu czas jest zaznaczyć, że owe trzy kategorye ludności według pytania 37 przedstawiają się w stosunku 15 : 35 : 30 — zamożni — średni — ubodzy.

Wszystko najgorsze zatem przypada na 50 proc. ludności rolniczej!

Sądzę, że możemy pominąć resztę ciekawych pytań prof. Cybulskiego — odpowiedzi powyższe charakteryzują pracę i jej wyniki. Pozwolę sobie tylko zwrócić uwagę czytelnika na rozrzucone po całem dziełku uwagi w rodzaju następujących:

„Jadają tu często barszcz z kwaśnicą (jabłka niedojrzałe)."

„Do chleba żytniego dodają zwykle ziemniaków nadpsutych, które się do jedzenia same nie nadają."

„Placki na wpół z popiołem jadają na świeżo, gdyż po wyschnięciu są nie do użycia."

„Włościanie sami jedzą jaja tylko wtedy, gdy się stłucze lub zepsuje."

„Gdy jakaś sztuka drobiu jest chora, ucinają jej głowę i jadają sami."

„Ubożsi kupują od bogatszych odpadki kapuściane i te kiszą."

„Grzyby sprzedają — sami zaś jedzą grzyby stare lub nadpsute, wreszcie trzony bez czapeczek."

Te to uwagi, te szczegóły o „nadpsutych" dodatkach pożywienia włościańskiego stanowią właściwszą wartość pracy prof. Cybulskiego. Jak widzieliśmy ilościowe, statystycznie wypośrodkowane normy pokarmu niczego jeszcze nie dowodzą wobec jego jakości. Na tę stronę kwestyi jaskrawe światło rzuca „Próba badań", wykazując zarazem jak nie wartą jest dotychczasowa metoda badania, oparta na obliczeniach ilości białka i t. p. w idealnej cyfrze idealnie obrachowanych na głowę pokarmach zawartego.

Pozostawmy więc na stronie idealne tablice o białku, dekstrynie i azotanach, a postarajmy się znów poglądowo porównać ten pokarm naszego ludu z żywieniem się gdzie indziej.

Antoni Potocki.

NA WYŁOMIE.

(Etyka w prasie. Pod adresem „Dziennika Poznańskiego).

Przyzwyczaiłem się już w praktyce dziennikarskiej do muzyki politycznych namiętności, zagłuszającej do szczętu instynkty szlachetniejsze w gladjatorach naszych. Mam wiele wyrozumiałości dla polemicznych uniesień i sam nieraz „na wyłomie" pióro literackie w bicz cierpkiej satyry zmieniałem. Jedni witali pogadanki moje oklaskiem, inni urąganiem — i cóż? To zwykłe dzieje feljetonisty. Nieraz uderza się rękę, z którą wczoraj łączył nas uścisk serdeczny, nieraz lubi się i czci *obywatela* — *człowieka*, *a politykowi* wbija się żądło pod serce. Niewdzięczne zadanie, smutny obowiązek!

A przecież jest pewna granica, której uczciwemu dziennikarzowi przekroczyć nie wolno. Karćcie, urągajcie, ciskajcie piorunami, — to wasze prawo i powinność wasza, — ale nie upijajcie się nienawiści szałem, ślepej na barwy słoneczne w obozie przeciwników, ślepej na plamy posępne w kolumnach własnych żołnierzy. Dzieje ostatnich kampanii wyborczych i nowego rozłamu w społeczeństwie poznańskiem, zapisały w kronikach swoich ciekawe momenty stronniczego wyuzdania i politycznego zwyrodnienia.

Dziwna tragedya losu! Niedorostki polityczne, a już znieprawione starcy, niemowlęta słabe, a już dekadenci, rozkochani w zgrzybiałym cyniźmie. Zdeptano prawdę i sprawiedliwość, a na zwłokach tych jasnych bogów uderzono w bardon pijanego bluźnierstwa. Toż kilka zaledwie miesięcy dzieli nas od chwili, w której pewien rutynowany dziennikarz, powołany do porządku o fałszywe ilustracye zebrań przedwyborczych, roześmiał się na całe gardło i odparł cynicznie, że w interesie stronnictwa wolno mu barwić, przekręcać i naginać fakta. A przecież ten sam apostoł politycznej obłudy urągał przeciwnikom, że do pruskiej policyi rękę wyciągają o zbrojną jałmużnę, że kłamliwie obliczają głosy wyborców, że wyzyskują Kościół i religię dla postronnych celów. Zaiste! Z etyki utkano sobie pajaca, — „evviva l'arte!"

Znamienny ten objaw rozkładu poruszyłem już nieraz w feljetonach moich, a jeżeli dziś znowu rozszemrałem się tak dziwnie gorżko, to winno temu wręcz bezprzykładne wystąpienie „Orędownika" w sprawie projektowanego konkursu na biografją Karola Marcinkowskiego.

W gronie obywatelstwa naszego zjawia się mąż o gorącem sercu i pragnie w jubileuszowym roku hołd oddać pamięci wielkiego filantropa. Zwraca się zatem do redakcyi pisma naszego i składając poważną ofiarę pieniężną, rzuca myśl konkursowej pracy o życiu i dziełach tego, który imię swoje niezatartemi głoskami w historyi Księstwa zapisał. Sądziłem przez chwilę, że prasa bez względu na barwę swoją uczci jednomyślnie ten czyn obywatelski, ale przekonałem się, że dla dokładnej oceny poznańskiej dzielnicy trzeba do szczętu wyszarpać resztki optymizmu z serca i mózgu. „*Kuryer Pozn.*" i „*Dziennik*" pogrzebały milczeniem myśl pana Niesiołowskiego, bo dla potępienia projektu wystarcza tym fortecom kopalnego konserwatyzmu, pojawienie się pierwszej inicyatywy w łamach „Przeglądu", — „Orędownik" jednak prześcignął wszystkich i w „konkursie szlachetnych" on pierwszą odniósł nagrodę. W numerze 202 pisemka tego pojawił się bowiem artykuł p. t. „*Fantazya a naga rzeczywistość*". *Fantazyę* w tym dziennikarskim elaboracie jest logika i sprawiedliwość, — *naga rzeczywistością* obłąkana nieomal stronniczość.

Obłąkana? nie cofam tego słowa, bo zdaje mi się, że nawet w tak spróchniałem społeczeństwie, jak nasze, zaledwie garść bezmyślnych Janczarów przyklśnie zgrzytowi nienawiści, zaledwie garść Mameluków pieścić się będzie krzykliwą melodyą politycznego fanatyzmu.

Oto zabiera głos apostoł „ludowej" dyplomacyi i mówi z żółciowym grymasem na ustach:

„Ceny w ostatnich latach na wszystko spadają i na — mecenasostwo też. Rozumielibyśmy, żeby pan Niesiołowski, dzierżawca Szarleja na Kujawach, własności p. Józefa Kościelskiego, dał cały tysiąc marek, ale dawać tylko 200 marek na to, żeby drudzy zapłacili w czwornasób, to zaprawdę lepiej — nic nie dawać. Niech pan Niesiołowski obróci lepiej owe 200 mrk. na zakładanie rurek na bachorzy szarlejskiej, aby mógł na niej „pszenicę siać". Dowodził on kiedyś, że jak pozakłada rurki na bagnach, to porośnie mu na bagnach piękna pszenica. Pan Niesiołowski zwoził ludzi na wiece do Inowrocławia, by bronić polityki pana Kościelskiego, odezwał się też raz publicznie i naturalnie ku ogólnemu rozweseleniu, a teraz ofiaruje 200 mrk. żeby idee dr. Marcinkowskiego szerzyć. Lepiej byłoby może ruch ludowy poprzeć, a 200 mrk. schować do kieszeni — na rurki."

I cóż? nie czaruje was ta uwertura moralno-politycznej operetki. Bez mglistych przygrywek mówi ona muzyką trąb Jerychońskich zkąd wieje wicher w organie p. dr. Szymańskiego.

W następnych kupletach wykazuje tragikomiczny artykuł, ile poronionych projektów wydało na świat społeczeństwo nasze, — mówi o Towarzystwie obrony prawnej, o domie przemysłowym, o domie katolickim, o funduszu Kościuszkowskim, o fabryce papieru w Sremie, a w końcu gdy czytelnik spodziewa się, że symetrycznem finale tej długiej listy stanie się konkurs na dzieło o Karolu Marcinkowskim, wykonuje nagle „Orędewnik" zdumiewające *salto mortale* logiki. Słuchajmy:

„*Projekt p. Niesioołwskiego nie da się zestawić z tamtemi; jest skromny i da się zrealizować.* Ale powtarzamy: byłoby naturalniej, żeby pan N. był dał całe 1000 m., nie „dla zachęty" drugich taką drobnostkę jak 200 m. Kogo nie stać na całą kwotę konkursową, niech nie blaguje za tani grosz, że jest mecenasem narodu!....

„Oto znaki na naszem niebie i „Przegląd Poznański" powinien niepowołanym i nieproszonym mecenasom wprost napisać: schowaj bracie te 100, albo te 200 marek do kieszeni na ciężką godzinę, a nie baw się w mecenasowstwo, bo nie wiesz, czy czasem sam tych pieniędzy nie będziesz potrzebował.

„Przeglądowi Poznańskiemu" musimy powiedzieć, że szerokie koła ludu są wprost z g o r s z o n e i z o b u r z e n i e m m ó w i ą o tych wszystkich 10,000 i innych tysiącach i setkach".

Cytuję dosłownie wywody „Orędownika" aby czytelnicy nasi nie uronili, ani słowa z czarującej operetki dziennikarskiej. „*Projekt jest skromny i da się zrealizować*", ale ponieważ autorem jego jest człowiek odmiennych przekonań politycznych, zatem myśl uczciwa mieni się „fantazyą", a ofiara złożona na ołtarzu publicznym „blagą i zgorszeniem". I nie dość na tem! Dziennikarz poznański ustroi szlachetność w dzwonki błazeńskie, poszuka plamek na jej białem czole i rozkrzyczy je na cztery wiatry, a w końcu poleci biednemu agraryuszowi zakładanie „rurek na bagniskach.

Gdyby tak zjawił się cudowny mechanik i wynalazł rurki ku osuszaniu bagien dziennikarskich, wtedy istotnie radziłbym panu Niesiołowskiemu zaniechać konkursu, a natomiast zakupić tysiące instrumentów takich i zapuścić je, nie w „Szarlejskiej bachorzy", lecz w redakcyach poznańskich. Po dokonaniu radykalnej tej operacyi, może satyry moje zmieniłyby się w błogosławieństwo, może naonczas zrozumieliby karczownicy „nowych torów", że każda ofiara, złożona na ołtarzu publicznym jest różą płomienną wśród bezwonnych kwiatów samolubstwa, że myśl konkursowego dzieła o życiu wielkiego filantropa jest orzeźwiającem tchnieniem w dusznej atmosferze naszej literackiej apatyi, że nie wielkość ofiary lecz już sama inicyatywa i energiczne poparcie uczciwych dążeń stanowi zasługę i aureolę człowieka. Gdyby w społeczeństwie naszym pojawił się Rotschild lub Makay i rzucił tysiące marek jako premię konkursową na stół redakcyjny, nie uchyliłbym przed milionerem czoła mego głębiej, niż przed tym skromnym rolnikiem kujawskim, który cząstkę krwawo zapracowanego grosza składa w ofierze ojczyznie i literaturze.

Ale naprożno! Zdaje mi się, że w kwestyach humanitarności nie porozumiemy się nigdy z redakcyą „Orędownika". Chyba że zjawi się ów „cudowny mechanik" i wymyśli rurki odwadniające bagniska. Tymczasem jednak mój pesymizm rośnie i rośnie, a myśl skołatana coraz częściej rozpamiętuje jeden moment z niedawnej przeszłości.

Było to w miesiącu marcu. Przejęty nadzieją powstania nowego pisma, gwarzyłem późnym wieczorem z przyjacielem znacznie starszym odemnie. Mówiłem mu o nadziejach, pokładanych w społeczeństwie, o misyi naszej, o walce, która niebawem poruszy wszystkie umysły, a on milczał posępnie i w jego wielkich, ciemnych oczach coś niby smutek i litość czytałem. Fizyognomii tej nie zapomnę nigdy, — było to oblicze piękne, zmęczone i znużone historyą dawnych bólów i rozczarowań.

Mówiłem długo, a on milczał jak posąg z marmuru. Wreszcie położył rękę na ramieniu mojem i cichym głosem tak mówił:

„Żal mi pańskiego zapału i wiary. Z tych wszystkich kwiatów suchy liść zostanie. Wierzaj mi pan — *tu nic nie warto.*"

Tu nic nie warto? Może! A jednak: E pur si muove.

* * *

„Dzien. Pozn." raczył przedrukować feljeton mój z ubiegłego tygodnia, załączając dy-

skretną wzmiankę, że zapominam o dawnem koleżeństwie i nie oszczędzam w krytykach moich działalności p. Dobrowolskiego. Mógłbym Nestorowi dziennikarzy naszych odpowiedzieć pamiętnem słowem francuzkiego poety: *„Tu l'as voulu George Dandin.“* Mógłbym przypomnieć paszkwile zamieszczane w „Dzienniku“ całemi tuzinami przeciw dawnemu koledze, mógłbym mu rzucić pod nogi ową kalumnię, którą z miłości dla dawnego współpracownika ogłosił w łamach organu swojego i cofnął dopiero pod presyą opinii publicznej, — mógłbym wreszcie napiętnować tę dziwną pretensyę do względów człowieka, którego ścigało się z całą zaciętością jak stropionego jelenia; — ale zasady „oko za oko“ nie wypisuję na puklerzu „Przeglądu“. Nie myśl zemsty dyktuje feljetony moje, lecz obowiązek publicystyczny, a obowiązek ten nakazuje mi rozpatrywać krytycznie publiczną działalność ludzi, którzy słusznie czy niesłusznie ster spraw narodowych dzierzą w rękach swoich. Zasiadał Władysław Niegolewski, zasiadał i dr. Łebiński przy jednem stole z panem Dobrowolskim, a któż z nas nie pamięta pocisków piorunowych, rzucanych poźniej ręką redaktora „Dziennika Poznańskiego“ na dawnych towarzyszy i kolegów? Spełniłeś swój obowiązek, panie redaktorze, i ja mój spełniam uczciwie. Nie uderzam w człowieka, lecz w publicznego działacza, któremu blasków pewnych nikt nie odmawia, który niegdyś może był dzielnym jak Troja starożytna, ale o którym dziś jak o niej mówi się z smutnem westchnieniem: *Fuit!*

Zresztą w feljetonie, przyjętym tak gościnnie do łamów „Dziennika Poznańskiego“, piętnowałem przedewszystkiem operetkową owacyą, urządzoną w murach Krakowa wielkopolskim gościom, — o zakulisowych tajnikach wyprawy p. Dobrowolskiego zamilczeć wolę, lecz radzę szczerze nie nadużywać dyskrecyi mojej.

A w końcu, raczy mi „Dziennik Poznański“ wybaczyć, jeżeli przez wzgląd na dawne koleżeństwo złożę na jego biurku redakcyjnem pomyślną wróżbę i serdeczną radę: Ubarwiajcie szare kolumny pisma waszego artykułami „Przeglądu“, a wtedy zburzona Troja z gruzów się podniesie i zamiast *„fuit“* krzyknie wam naród nad uchem: *Est! est!*

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Lew. hr. Tołstoj (ojciec) o Guy de Maupassancie. W przedmowie do wydanego świeżo w Moskwie romansu „Mont-Oriel“ pisze hr. Tołstoj, iż po raz pierwszy małą książeczkę z nazwiskiem Maupassanta („Maison Tellier“ dał mu do czytania w roku 1881 Turgieniew.

— Przeczytaj pan — rzekł niby od niechcenia autor „Dymu“ — to młody pisarz... Przekonaj się pan... wcale niezłe...

I hr. Tołstoj przeczytał wówczas ową małą książeczkę i przekonał się. że stoi przed nim — prawdziwy talent, „który umie widzieć to, czego inni nie widzą...“ Ale co dopiero wprowadziło Tołstoja w zachwyt prawdziwy, to „Une vie“. „Jest to przepyszny romans — mówi hr. Tołstoj, — nietylko najlepszy romans Maupassanta; ale najlepszy romans francuzki po „Misérables“ Wiktora Hugo“. Twórca „Anny Kareninej“, w dalszych swych wywodach, uważa Maupassanta, pod względem formy, za najlepszego prozaika francuzkiego i podnosi nadto jego zapał i szczerość, która najwyraźninj uwydatniła się w „Une vie“, gdzie w każdym obrazie czuć wszechpotężną miłość autora dla powołanych do życia postaci.

Najznamienniejszym atoli w przedmowie Tołstoja jest ustęp końcowy. „Nie było chyba pisarza — dowodzi hr. Tołstoj — któryby równie szczerze widział całe szczęście i cel życia w kobiecie i miłości, i któryby z równą potęgą namiętną opisywał kobietę i jej miłość... Ale jednocześnie nie było chyba nigdy jeszcze pisarza, któryby z większą bezwzględnością wskazał na te wszystkie ohydne strony tego samego właśnie zjawiska, które wydawało mu się najwyższem dobrem życia!... Maupassant dożył do tragicznego momentu życia, kiedy zaczęła się w nim walka między fałszem, który go otaczał, i prawdą, którą zaczynał poznawać.... Czego szukał i czego pragnął?... Miłości!... ale nie tej kobiecej, która mu obrzydła, ale owej czystej, duchowej, boskiej miłości, tej od dawien dawna zbawicicielki życia, która rwie pęta poziome i ratuje ducha z uścisków samotności okrutnej!...“

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne W Marokko podnieśli Kabyle rokosz i zrabowali kilka miejscowości. — W Atenach napadli oficerowie greccy redakcyą dziennika „Akropolis“ i zburzyli do szczętu biuro oraz drukarnią. — Socyalistyczny komitet wyborczy francuzkiego miasta Dijon rozkazał deputowanemu Veux złożyć mandat poselski. Veux dotychczas wzbrania się ustąpić, a wielka część prasy piętnuje teroryzm komitetów, zaopatrujących deputowanych w krępujący „mandat imperatif“. Koła urzędowe lękają się, że w razie złożenia mandatu przez posła Vaux urośnie liczba podobnych wypadków w przyszłej sesyi parlamentarnej. — Manewry cesarskie pod Stanisławowem w Galicyi odwołano. — W Anglii zanosi się na zaciętą walkę żywiołów demokratycznych z izbą lordów Rosebery zdecyduje się prawdopodobnie ograniczyć przywileje lordów.

Teatr i muzyka. Adolf Abrahamowicz napisał trzyaktową komedyę p. t. Hydropatya. — We Lwowie odbędzie się 9 b. m. wielki koncert „Zwiazku muzycznego“, w którym oprócz najwybitniejszych sił miejscowych wystąpią panna Szumowska, pianistka z Paryża i panna Helena Weychertowa, śpiewaczka z Warszawy. — Paryzki „Theatre libre“ wybiera się do Berlina na występy gościnne. Przedstawienia rozpoczną się w październiku w „Residenztheater“. — Dyrekcya teatru krakowskiego nabyła premiery pióra Bałuckiego, Mańkowskiego, Przybylskiego, Gawalewicza, Zglińskiego Fełińskiego i Rzewuskiego a z zagranicznych utworów wystawi „Don Juana“ Moliera, „Życie snem“ Calderona i „Hanusię“ Hauptmanna w przekładzie Konopnickiej. — Dramatyczne towarzystwo poznańskie występuje z powodzeniem w miastach zachodniopruskich.

Zjazdy i kongresy. W Antwerpii odbył się VI kongres ligi pokojowej. — W Berlinie obradował kongres inżynieróów. — W Saratowie odbył się zjazd gubernialny lekarzy ziemskich.

Wystawy. W Erfurcie odbyła się wystawa fotografii amatorskich. — W Luksemburgu urządzono wystawę przemysłową.

Baronowa pani Suttner odczytała na VI międzynarodowym kongrosie „Ligi Pokoju“ w Antwerpii prześliczną powiastkę swego pióra p. t. „La ville oà l'on s'amuse“, stanowiącą ciętą satyrę maksymy: „si vis pacem. para bellum“.

W Toruniu zacznie od 1 pazdziernika wychodzić „Gazeta codzienna“ w miejsce obecnej „Gazety toruńskiej“. — W Gdańsku ukaże się niebawem nowe pismo p t. „Kuryer Gdański“, a w „Grudziądzu „Gazeta Grudziądzka“ pod redakcyą p, Kulewskiego.

Siostra królowej włoskiej. księżna **Letycja Bonaparte**, otrzymała niedawno surowe od króla napomnienie za to, że wydała w swym pałacu bal, na którym byli obecni prawie sami oficerowie. Bal trwał całą noc i sama księżna, pomimo, że jest wdową, oddawała się tańcom namiętnie. Obecnie gazeta „Secolo“ donosi, że w tych dniach księżna jeździła na rowerze w towarzystwie dwóch kawalerów po jednej z alei, prowadzących do jej pałacu. Jakiś major, przechodząc na czele oddziału żołnierzy około jadących, nie oddał księżnie honorów wojskowych. Obrażona o to Letycya poskarzyła się na majora przed komendantem Turynu, jenerałem D'Ousian de la Baten, który natychmiast majora wezwał do siebie. Major oświadczył, że nie przypuszczał nigdy, by księżna Letycja mogła jeździć na rowerze i dlatego nie poznał jej, mimo to jednak komendant przyaresztował majora i zdał raport o wypadku ministrowi wojny, który z kolei uwiadomił o wszystkiem krola Humberta. Król natychmiast drogą telegraficzną kazał uwolnić z aresztu majora, a księżnie Letycyji zabronił bywania na dworze i skazał ją na areszt domowy na dwa miesiące. Prócz tego z listy dworzan księżny wykreślony został jeden z jej najbliższych powierników p. Moncriwello.

Jak żyć w upały? Oto pytanie, na które daje następująca odpowiedź dr. Gruber z Włednia: używać bardzo mało ruchu, prowadzić tryb życia umiarkowany, zwłaszcza zaś pod względem użycia napojów alkoholicznych; najlepszym napojem jest woda (filtrowana) o temperaturze minimalnej 7 R.; piwo jako spożywane w stanie chłodniejszym, bywa szkodliwem; doskonały wsływ wywierają zimne kąpiele, zwłaszcza zaś wycieranie zimną wodą; najlepszym materyałem na suknie jest batyst, na ubranie męskie lekka flanela; nie należy sypiać przy otwartym oknie.

„Dziennik Poznański“ rozpoczął druk powieści Krechowieckiego p. t. „Kres“. Powieść tę ogłosił w początkach roku bieżącego „Kuryer Warszawski.“

W Warszawie odkryto podobno nieznany obraz Rubensa, zaopatrzony podpisem mistrza. Korespondent „Kraju“ wątpi jednak o autentyczności obrazu, a w kwestyi podpisu przypomina głośne zdanie Alberta Wolffa: „Plus il est faux, plus il est signé“.

Zmarli:

Wojciech Naprstek, założyciel muzeum przemysłowego i biblioteki publicznej w Pradze, niezmordowany pracownik i weteran bojów o wolność w Czechach. Zm. 3 b. m. w Pradze w 68 roku życia.

Władysław Bezic, poeta chorwacki, zmarł w Waraszdyminie na Węgrzech.

Jan Camoletti, znakomity architekt szwajcarski, zmarł w Genewie.

BIBLIOGRAFJA.

Abgar-Sołtan. Polubowna ugoda. (Powieść). Lwów 1894. Cena 4,00 mrk.

Szymon Askenazy. Studya historyczno-krytyczne. Kraków 1894. Cena 5,00 mrk.

Władysław Bełza- Zaklęte dzwony. Lwów 1894. Cena 2,00 mrk.

Romuald Theodorowicz. Przez barwne szkiełka Lwów 1894. Cena 4.00 marki.

Odpowiedzi Redakcyi.

Wenar Zamieścić nie możemy. Za mało poezyi — za wiele reminiscencyi. Wiersz p. t. „Urocze oczy“ jest niewolniczem naśladowaniem znanej piosenki p. t. „Znam ja oczy co błyskają“. Radzimy zwrócić się do prozy.

Cz. N Adres „Kroniki społecznej i literackiej“: Lwów. Sykstuska 10. „Słowo polskie“ należy zapisywać w redakcyi (Lwów ul. Kopernika 6) lub w którejkolwiek księgarni.

M. S. Polecamy dzieła „Langego“ i Ueberwega. Pogłoski wiadome mają pewną podstawę, ale znajdujemy się dopiero w zaraniu organizacyi. Do planu zamierzamy wprowadzić hygienę, początki prawa i ekonomii, filozofję, literaturę i estetykę. Resztę dowie się Pani w swoim czasie z publicznych ogłoszeń.

Składki

Na fundusz imienia Tadeusza Kościuszki

złożyli: p. Stefanja Jawdyńska . . . 2 Mrk.

Na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o życiu Karola Marcinkowskiego złożyli:

Bern. Chrz.	10	Marek.
Dr. Bolesław Krysiewicz	10	„
Dr. Władysław Rabski	10	„
Dr. Tom. Drobnik	10	„
Jan Krysiewicz	3	„
adwokat Władysław Seyda . . .	20	„
Dr. E. H.	3	„
Stanisław Zeyland	10	„
Dr. J. Preibisz	10	„
	Razem 86	Marek.

Zebrane dawniej 16,50 Mrk. na fundusz Kościuszkowski złożyliśmy w „Banku Przemysłowców.“

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Masław Zmorski z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego„. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.